Nr 32 (1232). Warszawa, 24 Lipca (6 Sierpnia) 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Zerwanie.

Stała się rzecz ze stanowiska zimnego rozsądku, którym tak odznacza się dzisiejszy rząd francuski w polityce z kościołem katolickim, nieprawdopodobna: zerwanie stosunków z Watykanem. Stroną czynną w tej niespodziance jest rząd świecki, działający zupełnie swobodnie, bez przeszkód, zdolnych wywołać coś więcej prócz podrażnienia nerwowego; bierną — rząd duchowny, który całą swą potęgę oporu wcielił w dwie noty jednej z kongregacyi rzymskiej i w odezwę ministra sekretarza stanu przy papieżu. Niespodzianka jest tem mniej rozsądną, że dalsze tolerowanie nuncyusza Lorenzellego w Paryżu stwierdzałoby tylko niemoc rzymską wobec potęgi francuskiej niepsując w niczem, nie hamując nawet na jeden moment, podjętej i już prawie zupełnie do skutku doprowadzonej roboty p. Combes'a. To, że dwaj biskupi otrzymali od kongregacyi Santo Officio naganę, było wewnętrzną sprawą kościoła; to, że jeden z nich uległ wezwaniu kardynała sekretarza stanu i pojechał do Rzymu *ad audiendum verbum* było wewnętrzną sprawą państwa francuskiego; ani w jednym, ani w drugim wypadku Watykan nie wdzierał się w prawa rządowe, nie spełniał czynu przeciwnego konkordatowi. Rozsądek tryumfujący, silny, na gruzach instytucyi nienawidzonej stojący, mógł był i biskupa Geala z Laval i biskupa Nordeza z Dijon, każdego osobna, zostawić w cztery oczy z papieżem i nie troszczyć się o to, który z nich postawi się ostro, a który ugnie.

P. Combes, który umie zimny rozsądek potęgować w fanatyzm nienawiści, dowiódł w danym wypadku, że jest drażliwą, nerwową sekutnicą więcej, aniżeli mężem stanu. Z tego tylko punktu widzenia można było dotychczas dodatnio, jako na nieuchronną konieczność, spoglądać na przedsięwzięte oczyszczenie Francyi z mnichów i półmnichów; nikomu na myśl nie przyszło podciągać zamysłów pod hasła republikanizmu, demokracyi, praw człowieka, nietykalności narodu — wielkich sztandarów lat 1789—95, 1830—48. Wraz z zerwaniem stosunków polityczna waga p. Combes'a, jako nieubłaganego wykonawcy rozkazów praktycznego rozumu, odrazu maleje, a każdy nowy tydzień w nowym porządku rzeczy zaostrzać będzie jeszcze sąd o niestosowności postawionego kroku. Teraz dopiero zaczną radykalni nacierać na zerwanie konkordatu, już nawet nacierają; teraz też i duchowieństwo świeckie w wyższych swoich warstwach, dość dotychczas obojętne dla stowarzyszeń, stanie się nieobojętnem dla Watykanu i papieża. Konkordat był i jest dla Francyi mniejszem, ale dla rządu francuskiego, monarchicznego czy republikańskiego, orleanistowskiego czy imperyalistycznego — wielkiem prawdziwie dobrodziejstwem; a oddzielenie kościoła od państwa zamiast osłabić, wzmogłoby tylko tę samą agitacyę i działalność klerykalną, której zwalczenie stanowcze i nieodwołalne p. Combes za cel sobie wytknął. Wzburzenie w okresie przejściowym nadałoby tej agitacyi rozpęd w samych początkach niedobrze wróżący o końcu.

Ktokolwiek zajrzał do tekstów konkordatu z dnia 29 Messidora an IX (17 lipca 1801) i artykułów organicznych z dnia 26 Messidora an IX (14 lipca 1801), ten długo namyślać się niepotrzebuje, aby orzec, że rządy, które się nimi posługiwały, miały w nich potężne przeciwko papieżowi, Kościołowi i duchowieństwu francuskiemu tarany. Stosuje się to głównie do artykułów organicznych, noszących datę w cześniejszą od konkordatu, ale właściwie w ostateczną postać ujętych dopiero po podpisaniu konkordatu przez Józefa Buonapartego i kardynała Herkulesa Gonsalviego, przyczem pełnomocnik papiezki miał się dopuścić samowoli patrzenia przez szpary na absolutystyczne zamysły przyszłego cesarza, który już jako pierwszy konsul wyłącznie dla siebie wszelkie stosunki z Watykanem zachowywał. Weźmy tylko te Artykuły organiczne. Natkniemy się odrazu na niewolę. Tytuł stanowi, że cokolwiek wychodzi z Rzymu, może być we Francyi ogłoszone i spełniane tylko za potwierdzeniem i pozwoleniem rządu. Funkcyi „kościoła gallikańskiego", od rządu niezależnych, rząd nie uznaje za prawne. Nawet postanowienia Soborów muszą mieć stempel rządowy. Bez woli rządu nie może się zebrać ani synod, ani nawet lżejsze zgromadzenie obradujące duchowieństwa.

Pierwszy konsul bierze w obronę zarówno sumienie obywateli, jak i prawo rządowe wobec kościoła; w wypadkach obrazy doznanej przez jedno lub drugie idzie sprawa do rady stanu, *comme d'abus*. Tytuł II zakazuje biskupowi wymagać i używać inwokacyi innej, niż „Citoyen" lub „Monsieur." Rząd sam wybiera i mianuje biskupów; papież tylko daje im instytucyę duchowną, o którą sam nominat starać się powinien. Proboszcza mianuje biskup, ale zatwierdza prefekt; tak właściwie nominacya jest tylko przedstawieniem kandydata. Biskup może mieć przy sobie kapitułę i seminaryum, lecz tylko za pozwoleniem rzą-

du. Profesorowie seminaryów przysięgają na deklaracyę gallikańską z r. 1682. Co rok wykaz nauczycieli ma być przysyłany do rady stanu, dla oczyszczenia list z podejrzanych. Jurysdykcya biskupa jest jedyną uznaną, charakter księdza, należącego do ustroju dyecezyi, niezbędnym dla wykonywania funkcyi kościelnych. Dla całej Francyi ustanawiają artykuły jeden wspólny katechizm. W kazaniach nie wolno ganić nawet kalendarza republikańskiego. Samo nawet bicie w dzwony ma być „regulowane w porozumieniu z prefektem.“ To już chyba wystarczy. W razie zupełnego oddzielenia Kościoła — rząd francuski, p. Combes'a, czy jego następcy, chcąc ocalić choć połowę tej pomocy jaką ma teraz, będzie musiał uchwalić prawa wyjątkowe dla księży wogóle i samą konstytucyę zmienić.

S. K.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Stało się, jak przewidywano: Japończycy weszli do Niu-czuangu nadmorskiego (Inkau) dopiero wtedy, kiedy byli panami Taszy-tsao. Nie potrzebowali nawet ważnego nad morzem wewnętrznem chińskiem, pod względem zwłaszcza handlowym, punktu zdobywać: znaleźli bramy jego otwarte. Generał Kuropatkin, widząc, poczynające się już nacieranie Japończyków od południa na Taszy-tsao, kazał Inkau opróżnić. Opróżnionym on zupełnie nie jest, bo po przystani ma rozsiane miny, których wydobycie, jak np. było w Talien-uanie, wiele czasu zabierze i na liczne jeszcze narazić może niebezpieczeństwa a nawet klęski. Prędko i łatwo wtargnął d. 25 z. m. jakiś szwadron kawaleryi japońskiej od Taszy-tsao, ale napracuje się dobrze flota japońska, zanim wpłynie do portu i zdoła wysadzić wojsko — przewidywanie konieczne, nieodparte, bez którego niepodobna sobie wyobrazić jakiego takiego rozumu w sztabie japońskim. Telegraf widział już teraz flotę, czekającą tylko na ustąpienie garnizonu; ale telegraf w tej wojnie widzi i wysyła w świat tyle urojeń, że i ten fakt za urojony uznać potrzeba.

Zdobycie Taszy-tsao w d. 24 z. m. poprzedziły drobne walki w wąwozach i po przed nimi, które w buletynach gen. Kuropatkina przedstawiały się raczej, jako działania rozpoznawcze, niż poważnie już bojowe. Zajęło Japończykom to posuwanie się czas od 20 do 23 b. m.; wtedy dopiero dosięgnąwszy linij rosyjskich na wschód i południe od celu, działanie rozpoczęli. Było krwawe, uporczywe w przebiegu, chwiejne w wynikach, ale ostatecznie wieczorem d. 24 z. m. po kilkunastogodzinnym boju zakończyło się opanowaniem pozycyi, niezmiernie ważnej, tak ważnej, że kto ma Taszy-tsao, ten, posiadając przytem drogę od Inkau i siły w niem, musi mieć i Hai-czeng, dalej na północ a bliżej Liao jangu, głównego środowiska strategicznego gen. Kuropatkina, położony. Niewiadomy jest stosunek sił, wiemy tylko, że w bitwie ryczało sto armat rosyjskich; czy jednakże bitwa była przeważnie walką artyleryi — o tem wątpić musimy z powodu samej rozciągłości boju, licznych zmian pozycyj, traconych przez jedne, zdobywanych przez drugą stronę. Japończycy mieli napewno dwie dywizye i brygadę; stracili 1,000 ludzi w zabitych i rannych, ale ta strata sowicie im się opłaciła. Dział musieli mieć więcej, niż wojska rosyjskie. Wogóle mają ich na północnej widowni około 700. Jest to niemała tajemnica ich powodzenia.

Około Portu Artura nowiniarze stoczyli już bitwę straszliwą, nie dawniej jak w przeszły czwartek — przez niektórych przedzierzgany w piątek (d. 29 z. m.). Dawniej już to reporterskie bohaterstwo, żywione głównie przez Chińczyków i dżonki chińskie z Czyfu, ale zasilane także z Portu Artura, uśmierciło 30,000 Japończyków; teraz zadawala się jedenastu tysiącami. Za tę cenę jednak warownia miała już być bliską wzięcia. Baśniami są zarówno te czyny Japończyków, a 200 dział oblężniczych, które Japończycy mają pod Portem Artura, prócz artyleryi polowej, wskazują samą liczbą swoją, że działań podpadających pod pojęcie szturmu oczekiwać można w krótkim już czasie. Front rozciągnięty jest na 18—20 kilometrów, na kilometr przypada 10 dział oblężniczych.

Sprawę „Malakki“ rozstrzygnęło wydanie jej w Algierze konsulowi angielskiemu. Czy sprawdzono przytem „conottement,“ jak stało w zapowiedziach — telegraf nie mówi.

Przybyły nowe sprawy: o zatopienie amerykańskiego „Knight Commandor“ przez flotę władywostocką, zabranie „Arabii“ niemieckiej, przyprowadzenie do Port-Said innego jeszcze statku. W Ameryce objawia się silne wrzenie. Sprawy z Anglią i z Niemcami załatwione. „Printz Heinrich“ w kilka dni po zabraniu wolność odzyskał.

Powątpiewano tu słusznie o tak szybkiem a zasadniczem załatwieniu sprawy statków wojenno-handlowych i zarazem handlowo-wojennych floty ochotniczej, o jakiem donoszono w przeszłym tygodniu. Hr. Lamsdorff zgodził się tylko na to, aby wszelki zabór uważać za niedokonany i niebyły, dopóki statki pomienione nie otrzymają instrukcyi, aby do czasu wyjaśnienia stanowiska międzynarodowego floty ochotniczej nie dopełniać czynności, należących do floty czysto wojennej. Dodajmy, że w Hadze w r. 1899 upoważniono państwa do trzymania statków półwojennych, każde jednak takie wynajęcie i przeznaczenie musi być oznajmione wszystkim mocarstwom i otoczone jest zastrzeżeniami. Z wypadków pozostaje dla Anglii kwestya cieśnin tureckich — i floty czarnomorskiej, jako zagadnienie bieżącej jej polityki i dyplomacyi.

Dnia 28 lipca w Petersburgu około god. 10 rano w drodze na dworzec kolejowy, bałtycki, w pobliżu stacyi kolei warszawskiej, zabito ministra spraw wewnętrznych, W. K. Plewego. Pod karetę rzucono bombę.

Francya zerwała stosunki z Watykanem. P. Delcassé przysłał nuncyuszowi Lorenzellemu radę, aby wyjechał, i paszport, aby się nie ociągał. P. de Courcel, sekretarz w Rzymie, opuścił już swe stanowisko.

Dnia 28 z. m. pp. Bülow i Witte podpisali traktat handlowy.

Sejm węgierski obraduje nad budżetem.

W Tryeście aresztowania i niepokoje. Młodź włoska domaga się uniwersytetu w Trydencie, a właściwie wydziera się do ojczyzny włoskiej i chce ją mieć na ziemi opanowanej przez Austryaków.

Jan Andruszewski.

W blasku ognia.

Co za głos! Co to za straszny głos!

Huk dzwonu, który nagle pękł i pędzi w przestrzeń jękiem i skargą; krzyk piersi, rozsadzanych bólem, gdy jeszcze siły w nich moc, takiej, co targa, ciska ciałem i oddziela się od niego gwałtem burzy.

Takie wycie! ni to dławionej wilczycy, pozbawionej szczeniąt, ni to roztęsknionego wiosną niedźwiedzia, ni to wiatru, co gnie do ziemi konary, druzgoce drzewa!

Taki straszny — okropny głos...

A biegnie hukiem po rżysku jesiennem, po źdźbłach rzadkich i zdeptanych przez bydło, a od tego tchu do ról się tuli reszta ich, zziębniętych. W lirę wygięte sosny bliźniacze na miedzy, wśród pól, nadstawiają złoto-płowe grzbiety strwożone, zdjęte lękiem — bo strach. A potem naraz cisza, wielka cisza, taka dziwna, rozlewna, jaka całym ogromem tęsknoty zatapia równiny o jesiennych wieczorach chłodnych. Mróz idzie z północy, wszywa się w złote sterty, świeżo omłóconej słomy, grzać się chce w tych olbrzymich, słonecznych katafalkach, takich przytulnych, ciepłych, spokojnych. Z nieba zwisają brudnemi szmatami porwane, postrzępione chmury, mgła włóczy się polach, wilgocią wsiąka w każdy liść, w każdą trawę, w każdą ziemi grudkę, która od słońca i mrozu popękały wrzeciądze chłopskich wrót.

A od czasu do czasu po przez jesieni żałobne osłony błyśnie niemocne już słońce i niby letargicznem gromnic światłem pozłoci na sen zimowy to, co żyje jeszcze i co już kona.

* *

Wązką dróżyną polną wyciekła drobnym truchtem linia wylękłych kuropatw, spłoszonych, goniących chyżo za starym kogutem o dużej, rdzawej podkowie na szaro-popielatej piersi. Przemknęły przez drogę z jednej ścieżki na drugą, gęstszą, zazielenioną bujną, młodą koniczyną.

Instynkt pędzi je w gąszcz, czują za sobą wroga — człowieka...

. . . .

I zjawia się w ślad za niemi szereg myśliwych, ze strzelbami gotowemi do strzału, o wzroku wytężonym przed siebie. Idą wolno, spokojnie, syci, ciepło odziani, wpatrzeni, jak żeglarze w kompas w ruchy ciemno-bronzowej wyżlicy. Pies, który dotąd przebiegał swobodnie ściernią przed linią strzelców, nagle zwalnia chodu, wysuwa łeb przed siebie, pręży ogon, jak strunę, podnosi przednią łapę i jakby się skradał, jakby się czaił do czegoś, wlepiwszy w jeden punkt krwią zaszłe ślepia, posuwa się naprzód.

Naraz staje, jak wryty i czeka.

Ludzie podchodzą ostrożnie za nim z strzelbami, wzniesionemi do pół ciała, z palcami wskazującymi na cynglach; wytężają wzrok przed siebie w kierunku psich ślepiów.

Barkot — i chyżo, jak myśl, zrywa się im z pod nóg prawie stado kuropatw pod czerwień zorzy wieczornej. Kilka smug dymu wykwita za niemi i nim jeszcze skonał w rosach huk strzałów, spada zataczając bezwładnie kręgi w powietrzu kilka ciał ptasich, po purpurze zachodu, na ściernią podszytą koniczem. Porwała się pędem wyżlica, cienkie jej nóżki lecą zda się nad polem nie dotykając ziemi, bronzowe uszy zwierzęcia tańczą dziwny jakiś taniec tryumfu, rozkoszy.

Jednego po drugim, drgające jeszcze ptaki bierze lekko w pysk i ostrożnie, pomału, jakby wstydząc się, przynosi i składa u nóg najbliższego z myśliwych. On głaszcze ją po lśniącym karku, przemawia do niej czule, ogląda pobite ptactwo.

Zeszli się inni, patrzą, gdzie który ptak trafiony, dzielą się łupem, dobijają żywe kuropatwy, tłukąc ich główki o kolby

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Naczelnikami rodów są zwykle nie najstarsi, lecz bogatsi i najmożniejsi jego członkowie. W rodzinie władza należy całkowicie do ojca, matki a w razie ich śmierci do starszych braci lub stryjów, naznaczonych zwykle opiekunami przez radę familijną, składającą się z najstarszych członków rodziny. Postanowienia głowy rodziny są obowiązujące i nieodwołalne dla wszystkich jej członków. Rodzice mają prawo wygnać i karać cieleśnie nawet dorosłe swe dzieci. Korejczycy jednak słyną, jako łagodni rodzice, a dzieci ich jako posłuszni i pieczołowici podwładni. Są sobie wzajem potrzebni: dzieci, jako siła robocza, rodzice, jako posiadacze ziemi i narzędzi. Obejście się niewolników z własnemi dziećmi jest o wiele gorsze, gdyż te bywają im zwykle odebrane, skoro stają się zdatne do jakiejkolwiek pracy *). Dawniej rodzice mogli sprzedawać w niewolę dzieci obojga płci. Obecnie, zdaje się, że stosuje się to otwarcie wyłącznie do córek; sprzedaż synów maskowana jest usynowieniem. Zgodnie z panującymi w prawodawstwie korejskiem poglądami Konfuciusza, każdy powinien mieć męzkiego potomka, który by troszczył się o oddawanie mu czci pośmiertnej. Ludziom bezdzietnym dozwolone było w tym celu usynawiać swych krewnych w młodszej o jeden stopień linii męzkiej. Prawo zabraniało usynowienia rodzonych i stryjecznych braci oraz ich wnuków. Jeżeli kto miał syna żonatego, który umarł bezdzietnie, to musiał usynowiać dziecko w jego imieniu, z tego też powodu wzbraniało prawo usynowienia stryjecznych *wnuków*, którzy mogli być przyjęci przez synów usynowiacza. Z tych postanowień widać, że prawodawca jakby żądał możności rzeczywistego ojcostwa i przyznawał je względem bratanków rozmaitego stopnia. Usynowienie następowało za zezwoleniem wszystkich męzkich członków rodziny, niekiedy wbrew życzeniu rodziców dziecka. Spisywano postanowienie i wciągano je w regestra Ministeryum Obrzędów; obecnie wystarcza postanowienie rady familijnej. Od tej chwili usynowiony, uważany był, jako rodzone dziecko usynowiacza i dziedziczył po nim majątek oraz przywileje. Rozwiązanie usynowienia było bardzo utrudnione i następowało jedynie za zezwoleniem rządu. Usynowiano zwykle niemowlęta. Jeżeli przybrani rodzice mieli córkę, to ją wydawali za przybranego syna *). Ale istnieje o wiele prostsza forma usynowienia, przy której usynowiany nic traci ani swego nazwiska ani swych praw rodzinnych i majątkowych, ogranicza się na prostem ustąpieniu dziecka przez rodziców innym ludziom na wychowanie.

Naczytawszy się opisów o dziwacznem zachowaniu korejskich rodziców i dzieci, o niezwykłej czołobitności ostatnich i surowości pierwszych, o klękaniach przed ojcami na ulicy w błocie i kurzu — byłem przyjemnie zdziwiony widokiem stosunków prostych, miłych i serdecznych, nieróżniących się prawie niczem od europejskich. Małe dzieci są pieszczone, a pewien bogaty Korejczyk z Seulu przedstawił mi syna, studenta, ładnego chłopaka, o obejściu pełnem niewymuszonego wdzięku i jawnej poufałości z ojcem. Nie mogę tego powiedzieć o córkach. Tych starszych ponad lat dziesięć prawie nie widziałem. Zaskoczone znienacka, dorosłe dziewczęta nawet po wsiach uciekają i chronią się pospiesznie przed wzrokiem mężczyzn do wnętrza domów albo zarzucają na głowy zasłony. Młode mężatki nie ukazują się nikomu i miałyby sobie za ubliżenie, gdyby padło na nie spojrzenie innego mężczyzny, prócz męża. Gdym zwiedzał w Seulu dom pewnego ukształconego Korejczyka, za nim weszliśmy na dziedziniec wewnętrzny, usunięto stamtąd wszystkie kobiety, pokoje żeńskie były zupełnie puste i tylko porzucone na ziemi roboty, meble, rzeczy i błyskotki świadczyły o ich obecności. Urzędnik, który mię oprowadzał po stolicy, dobrze już zaczerpnął z europejskiej cywilizacyi, mieszkał lat kilka we Władywostoku, gdzie kształcił się w budownictwie pod kierunkiem inżynierów, mimo to gdym go poprosił, aby przedstawił mię swej żonie, zmieszał się bardzo i choć wprost nie odmówił, a nawet obiecał to zrobić, dwukrotnie mię zawiódł: to nie zastaliśmy jej w domu, gdyż były imieniny matki, to za drugim razem „właśnie przysłano po nią lektykę i zabrano do chorej krewnej.“ A przecież była to godzina wyznaczona przez niego samego na moją wizytę, lecz po twarzy poznałem, że nie mógł przezwyciężyć głęboko zakorzenionego przesądu, którego złamanie, jak się okazało, mogło wystawić go wraz z żoną na pośmiewisko sąsiadów. Nawet władza nie ma prawa wejść w obecności kobiet do żeńskiej połowy domu i przestępca, który się tam ukrył, nie zostaje ujęty *). Z tego powodu o mało raz nie przyszło do grubej awantury: we wsi Szimpo na północno-wschodnim brzegu Korei, szukając szkoły, weszliśmy przez nieświadomość na jakieś podwórko, gdzie znajdowały się same kobiety. Tłum, towarzyszących nam Korejczyków, zaczął się burzyć i jeden z nich, łżąc, zastąpił nam drogę; z trudnością dowiedzieliśmy się, o co chodzi. Na gościńcach i ulicach spostrzedz można wprawdzie dużo kobiet, ale są to zwykle niewiasty stare i brzydkie, ubogie i zapracowane. Na polach widziałem nieraz pracujące i młode wieśniaczki, lecz pilnie odwracały głowy przy naszem zbliżeniu lub nawet uchodziły w dal. Pochodzi to może stąd, że w Korei dziewczyna lub wdowa — wogóle kobieta niezamężna — nawet gwałtem porwana, jeśli spędziła w sypialni mężczyzny choć jedną noc, staje się prawnie jego nałożnicą i nawet rodzice nie mogą żądać jej powrotu. Prawo to było powodem częstych nadużyć, które i obecnie nie ustały w głuchych kątach, wywołując poważne nieraz zwady i krwawe bójki **). Starodawne prawo, zabraniające powtórnego małżeństwa wdowom stanu szlacheckiego, w połączeniu z okolicznością, że w braku potomstwa one dziedziczyły po mężu cały majątek, powodowało często umyślnie

*) W. E. Griffis. „Corea, without, and within „II wydanie. 1885 r. str 143. Niewolnictwo trwa dotąd, choć urzędownie zostało zniesione przed dziesięciu laty.

*) M. A. Pogio. „Korea“ str. 128. tłomacz. niemieckie.

*) Ten sam obyczaj istniał do niedawna w Japonii.

**) „Korea Repository,“ 1898 r., str. 234.

---

strzelb, o buty, wiążąc rzucające się jeszcze w troki zawieszone u strzelb. Właściciel suki dumny głaszcze wciąż atłasową skórę psa.

— Mądry pies — dobra suka!

Odrywa rękę od grzbietu zwierzęcia, zdejmuje z głowy filcowy kapelusz ozdobiony piórkiem.

— Ciepło mi — stanowczo ten „loden“ za gruby na jesień...

— Mówiłem ci — odpowiada pan o krzywych nogach, opiętych w żółte kamasze.

Zapalają cygara, ocierają o ścierń buty, zakrwawione od tłuczonych głów ptactwa...

. . . .

Z oddali, od płonącego ogniska płynie ku nim ostry, gryzący dym.

— Trzeba zakazać palić tu ognie, moglibyśmy jeszcze co znaleźć w tamtych ziemniakach.

Widziałem, rano były poparpane...

— „To pastuchy...“

Wiatr gasi im cygara — skupili się w gromadkę, walczą z zapałkami, które im gasną co chwila.

. . . .

Na pustem, olbrzymiem ściernisku płonie stos chróstu i słomy, okolony kłębami dymu. I z nich prawie nagle pojawia się coś, jak człowiek—widmo, niby duch, upiór tych pól ogromnych a smutnych.

Staje na tle ceglasto-krwawej łuny wieczornej, zlanej z ziemią ostatnim zalewem słonecznego zachodu.

Dokoła niego wszystko zieje ogniem i purpurą, dym ze skrami zda się płynie mu z pod stóp.

Płomienno-rude zwoje jego, to wiją się w potopie zorzy, przecinają ją, rzucają na nią smugi o kształtach widm, to okalają, bramują jej przezrocz złotą, rozpłynięte w sine mgły lub zbite w czarne, kirowe festony.

I stoi ta zjawa wieczornego smutku bezkresnych płaskich równin o zachodzie, niby w cieleniu ich beznadziei nieutulonej, ich poddania się losowi, co gna za czemś dzień i noc po gładkiej, jak tafla, powierzchni tych ziem, jak wicher żenie przed siebie liście w jesień, jak życie pędzi wszystkie swe dzieci naprzód i naprzód.

Stoi człowiek-upiór i przygląda się szklanemi oczami, idącym opodal strzelcom. Wargi napół otwartych ust obwisły, ociekły śliną. Z pod rozmamranej koszuli widać kępy kudłów, porastających ciemną pierś. Wicher zerwał płótno, którem jego plecy pokryte były, jak chustką, rozwiewał i targał na śpiczastej głowie kosmyki brudnych włosów. Człowiek ten wykwitł z poza ognia, niby jego treść demoniczna, kapłan znicza w swych rozwianych, płóciennych szatach i stoi nieruchomo stężały z odblaskiem zorzy wieczornej i płomieni ogniowych w ogromnych, szeroko rozwartych źrenicach.

Myśliwi patrzą nań z obojętną ciekawością.

— „To on pali ciągle ognie...“

— Któż to?

— Pastuch żydowski, idyota, epileptyk...

— Wiesz, wczoraj za nim dzieci na wsi rzucały kamieniami.

— Czemuż go do szpitale gdzie nie wezmą?

— Nieuleczalnych nie przyjmują...

. . . .

Wicher zadął, zerwał płachtę z grzbietu epileptyka, roznosił po polu perz, rozwiewał piórka martwych kuropatw, zawieszonych u troków.

— Chodźmy!..

— Tam znowu ognisko dogasa...

— Trzeba koniecznie powiedzieć żydowi, niech go wygoni...

— W tych warunkach nigdy się nic porządnego nie zabije...

— Chodźcie!...

I poszli jeden za drugim, szarzy, niewyraźni w skradających się cieniach wieczornych. Tylko zdaleka migocą ogniki ich cygar, odbijając się od czasu do czasu w lufach przewieszonych przez plecy strzelb. Przodem biegł cicho, leciuchnym truchtem bronzowy pies.

przez krewnych nieboszczyka urządzane zasadzki. Zgwałcona we śnie lub pochwycona w drodze i uprowadzona kobieta stawała się własnością uwodziciela i z tej niewoli tylko śmierć albo przymusowe małżeństwo oswobodzić ją mogło. Stąd pochodziły liczne dawniej samobójstwa wdów *). Prawo, wzbraniające powtórnego małżeństwa szlachciankom, zostało zniesione dopiero w 1894 roku; lud prosty nigdy nie podlegał tym ograniczeniom i takie małżeństwa zawsze tam były na porządku dziennym.

Korejki są ciche, skromne, bardzo pracowite i troskliwe matki. Czas upływa im w ciągłem zajęciu. Wieśniaczki prócz robót polowych tkają, szyją, plotą maty, opierają domowników, doglądają bydła, kwaszą, solą, suszą i przyprawiają na zimę zapasy, obtłukują ziarno na krupy i mąkę i spełniają cały szereg drobnych, ale przykrych nieraz posług koło męża i domowników. Obyczaje korejskie nie uznają samoistności kobiet, one muszą koniecznie mieć opiekuna mężczyznę: ojca, męża, brata, wreszcie syna. Wychowane od dzieciństwa w tych poglądach, patrzą one na nie, jak na nieuniknione przeznaczenie swojej płci i przechodzą przez życie ostrożnie, jak cienie, kryjąc się za kulisami rodziny i rodu. Ciężkie, nudne, jednostajne, półwięzienne istnienie korejskiej dziewczyny, po śmierci rodziców staje się w rodzinie brata nieznośnem, prawie niewolniczem. Małżeństwo cokolwiek polepsza jej byt i daje pewne prawa przynajmniej nad własnemi dziećmi i własnością domową.

Chociaż prawo z 1894 r. zabrania wczesnych małżeństw i określa wiek młodzieńców w 20 roku, a dziewcząt w 16, ale widziałem bardzo wielu chłopców nie starszych nad lat 12 z włosami zaczesanymi do góry i zawiązanymi w pęczek na ciemieniu — znak pełnoletności i małżeństwa. Nawet spotykałem małych uczniów, ślęczących nad początkami „tysiąca znaków,“ już żonatych od lat paru. Podobno wczesne małżeństwa nie istniały w dawnej Korei i rozpowszechniły się dopiero przy obecnie panującej dynastyi. Wszelako tak się już wżarły w obyczaje, że prawodawstwo jest teraz wobec nich bezsilne, co powtarza się zresztą i w wielu innych dziedzinach życia korejskiego... Wszędzie łatwo zaszczepić zło, lecz o wiele trudniej je wyplenić!

Od chwili ślubu małżonek, chłopaczek często bardzo mały, traci prawo do zabawy i towarzystwa rówieśników. Winien od tej pory obcować z dorosłymi i zachowywać się, jak dorosły. Rozumie się, że wybór małżonki dla syna w tym wieku całkowicie zależy od rodziców, korzystają oni z tego prawa nawet względem dzieci dorosłych, i oblubieńcy widzą się zazwyczaj po raz pierwszy na własnem weselu.

Sprawa załatwia się zwy bez ich wiedzy, między rodzicami bezpośrednio lub za pośrednictwem swatów zawodowych. Skoro matka młodego lub swat obejrzał oblubienicę i warunki majątkowe okazały się odpowiednie, co gra w małżeństwie korejskiem pierwszorzędną rolę, ojciec młodzieńca pisze list na czerwonym papierze (znak radości) do ojca dziewczyny, pełen komplimentów, życzeń, zapytań o zdrowie, a jednocześnie podaje szczegółowo swe imię, nazwisko, określa nalezenie do rodu oraz oznacza miejsce zamieszkania. Wymienia w końcu ilu ma synów i dodaje, że jeden z nich jest jeszcze kawalerem, chociaż mógłby się ożenić i że on, ojciec, dowiedział się od przyjaciół, że w takiej to rodzinie jest na wydaniu dziewczyna. Odpowiedź rodziców panny ma znaczenie stanowcze, wyrażenie zgody na małżeństwo równa się jego zawarciu i w razie śmierci narzeczonego przed istotnym ślubem dziewica uważana jest za wdowę i dawnymi czasy wyjść za mąż powtórnie nie mogła.

Za jedną z najważniejszych rzeczy przy zawarciu małżeństwa uważa się umiejętny wybór szczęśliwego dnia na wesele. Dla tego lata pana młodego i panny młodej dodają się razem, odszukuje się gwiazda odpowiednia sumie liczb. Dzień gwiazdy jest dniem przeznaczonego obrzędu. Rozumie się, że w wyborze tego dnia oraz dnia wysłania podarunków czynny biorą udział ślepi wróżbici (pań-su). Sam obrzęd polega na zamianie podarunków: pan młody posyła przyszłej żonie stroje oraz sztukę materyi, z której narzeczona powinna własnoręcznie uszyć mu ubranie, w jakie on ubiera się po raz pierwszy na własne wesele *). Podarunki odnoszą do domu narzeczonej przyjaciele pana młodego, w drodze czekają już krewni narzeczonej, wszczyna się walka nieraz bardzo poważna, gdyż od wyniku jej zależy przyszłe powodzenie strony zwycięzkiej **). Po wysłaniu podarunków pan młody, który dotychczas nosił włosy zaplecione w jeden warkocz, zaczesuje je po męzku, do góry. Tylko małżeństwo daje Korejczykom prawo pełnoletności. Dorosły, nawet stary mężczyzna kawaler lub kobieta niezamężna, uważani są za niepełnoletnich, pogrzeb ich odbywa się bez szczególnych ceremonij, ciało zakopuje się poprostu bez trumny, owinięte w maty i żałoby się po nich nie obchodzi, jak po małych dzieciach. W dniu zaczesania włosów odwiedza narzeczony swych krewnych i znajomych, a wieczorem zbiera ich u siebie na ucztę.

W wilię wesela panna młoda odsyła narzeczonemu uszyte przez siebie ubranie, następnie prosi jedną z przyjaciółek, mających „lekką i szczęśliwą rękę,“ aby ją uczesała, jak mężatkę.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

*) Samobójstwa dopełniają kobiety w Korei przez przebicie sztyletem krtani, podobnie jak w Japonii; mężczyźni rozpruwają sobie brzuch (japoński hara-kiri).

*) Zwyczaj rozpowszechniony nietylko w Japonii, lecz i wśród Ainów, Sachalinu i Jesso, oraz Gilaków, Goldów, Danrów i innych plemion nadmorskich.

**) Podobny zupełnie zwyczaj istnieje u Jakutów; patrz „12 lat w kraju Jakutów,“ str. 327.

ŻYCIE SPOŁECZNE

Wchodząc w życie...

III.

Wchodząc w życie, nie znamy go i bez zawrotu głowy, bez poślizgnięcia się nie możemy przestąpić progu jego chramu.

I weszli wreszcie pod baldachim lasu, znikli w jego tajemnicy wieczornej.....

Z po za ogniska chyżymi skoki, jak dziki, pierwotny człowiek, wypada epileptyk i pędzi ku miejscu, gdzie widział spadające kuropatwy. Rękami przesuwa po ścierni, szuka na niej śladów krwi, śmieje się patrząc na zwalane nią dłonie, zbiera skrzętnie piórka, wytargane ptakom przez psa i pęk ich w wkłada dziurę czarnego od słót, słomianego niegdyś kapelusza, któremu czas i wichry oberwały krezy, zostawiając tylko dno.

Włożył go na głowę, i znowu zdjął, nie mogąc się dość nasycić widokiem piór.

Tyle razy widział te ptaki, przebiegające czasem tuż koło niego, tyle razy rzucał za niemi patykiem, a nigdy nie mógł ubić żadnego.

Teraz ma pióra z nich, umaczał ręce w ich krwi.

Twarz jego, o wyrazie idyotycznym, nalana, obrzękła, o cerze ziemi, ściąga się zawiścią, zwraca w stronę, którą poszli strzelcy.

„Kobym maw taku strilbu, jak wy, wsio bym zabyw, i was wsich“ bełkocą sine wargi, grozi wyciągnięta w przestrzeń ręka...

Nasyciwszy się piórkami, krwią, znów błędne oczy wlepił w ognisko. Ciągnie go coś ku purpurze ognistej, pragnie jej dokoła siebie, jak najwięcej, chciałby się okolić gąszczem krzaków, strzelających skrami, ukryć się w niej. Rzuca się na perz, na badyle, na gałązki sosen, nosi je oburącz i, jak szatan, rozpala jedne stosy po drugich, niby tygle piekielne, w których dogorywają, poznaczone w karby, purpurowo-popielate, zwęglone gałązki chróstu.

Jeden — drugi stos płonie... oświetla przydrożne sosny; bledną przy czerwieni ognia sterty słomy, złocące się w oddali. Wicher roznosi iskry. W środku ścierniska płonie rubinowy słup. Na tle zorzy wieczornej dym bucha i bucha z krwawego zjawiska płomiennej przemiany.

I idzie po gasnącej już słonecznej łunie w bezkres równin przednocny, ściele się się pod złoty księżyc, co cichem, łagodnem światłem wschodzi na drugim krańcu widnokręgu, hen daleko, z po za łąk.

Idzie strachem, i grozą, i lękiem, i pieszczotą nad pieszczoty, dzieciństwem, i odmianą, i zmartwychwstaniem, i wiecznością. Niekiedy buchnie gwałtowniej, a wtedy rozkłębia się, rozbiega po niebie stadem burych psów, o pyskach rozwartych, lwów, o złotych grzywach zjeżonych, rozchwianych wichrem, głodnych i groźnych, ryczących za żerem pustyń słonecznych. To znów rozwiewa się w szeregi siwych starców przedzgonnych, o białych, jak mleko, po pas długich brodach i włosach, starców—widm, płynących milczącym korowodem nad puste obszary rozsianych w bezbrzeżną dal kretowisk.

Albo rozpływa się w całe wieńce dziewic o śnieżnych szatach falistych, o alabastrowych piersiach, rozwartych na chłód wieczoru, o rozwianych na świat warkoczach, rudowłosych ostatnim blaskiem słonecznym i wschodem księżyca, przetykanych gwiazdami.....

. . . .

Snuje się dym po ciemniejącem pastwisku, a w jego obłokach, w słupie ognia, z twarzą czerwoną płomieniem i zorzy odbłyskiem, z oczami nieruchomo wlepionemi w ogień stoi Łuć - upiór — bezwolny, bezwiedny jego kochanek jeszcze z tych czasów, kiedy go Zniczem chowano po izbach chat, po świątyniach pogańskich....

Bo Łuć zrodzony był z ognia i nędzy, a ojcem intelektualnym był mu smutek ponury, matką beznadziejna tęsknica jego ziemi.

* * *

(D. n.)

Położenie rysuje się jasno. Mamy tu zetknięcie się dwu pokoleń, wzajemne oddziaływanie dwóch zastępów. Starsi przyczyniają się do osłabienia żywotności młodych, młodzi przejmują właściwości swoich ojców, potęgują je i łączą się z nimi w bezbarwny tłum, w których jednych od drugich odróżnić niepodobna; a przecież tyle przestrzeni było między dwoma pokoleniami, tyle narosło trudu myśli i czynu.

Zarzucają młodzieży brak ideałów. Najmarniejszy ciura kuryerkowy z pewnością swojej bezdennej głupoty rozwodzi się o tem, jak źle teraz, jak lepiej dawniej było. Modą się stało utyskiwać nad nicością pokolenia, żyjącego bez ideałów.

Brak ideałów. Istotnie możnaby się na to zgodzić, trzeba tylko określić, co się przez to pojmuje, by nie zostać posądzonym o pokrewieństwo myślowe z ojcami narodu, kiwającymi smutnie głową nad zwyrodnieniem potomstwa.

Ideał — to nietyle skrystalizowane, co krystalizujące się ujęcie myślowe uczuciowego pożądania, rzuconego w przyszłość. U większości jednak jest to ozdobna chorągiewka, którą się wywiesza na święta i przystraja stoły podczas uczty, a na dzień powszedni chowa do skrzyni. Przyjmujemy ją od ojców owiniętą w pokrowce, uważamy za zabytek, puściznę; dlatego cenimy— i umieszczamy na konsoli pod szkłem.

Słabi, niemający własnego oddechu, rachityczni synowie pokolenia, należącego nie do najlepszych w dziejach naszej kultury, nie możemy zdobyć się na żaden ruch żywszy. Bez światopoglądu własnego, opartego na pracy ducha w pełnym rozkwicie sił, nie możemy zdobyć się na własne ideały. Bierzemy je z książek, broszur, kuryerków, ust kaznodziei w sutannie lub surducie — i czcimy tradycyę. Nawet ten fakt, że sami odczuwamy skutki tego stanu rzeczy, owo filisterstwo, przeciętność młodzieży, małpowanie przez nią najbardziej płytkich i krzyczących cech naszej „dorosłości" w rodzaju prawa do odwiedzania domów publicznych, knajp, kawiarń i innych tym podobnych rozrywek intelektualnych — nawet ten fakt nie budzi świadomości ogółu, nie mówi mu, że te przejmowanie z rąk do rąk ideałów już gotowych, oszlifowanych, opokostowanych — nie odbija się dodatnio na postępie społeczeństwa.

Brak naszej młodzieży ideałów—to wielka, gryząca, bolesna prawda.

Tu nasuwa się dość smutna uwaga. Jeżeli weźmiemy miernik umysłowości ogółu, to, co większość jego obywateli wyznaje i czyni, to przekonamy się, że ta większość nie ma żadnych ideałów, naturalnie, jeżeli ideałem zwać będziemy wzrok rzucony w przyszłość, szukający w niej światła, któreby rozszerzyło, uczyniło powszechną własnością pożądanie powstałe z indywidualnego trudu jednostki. Są epoki w dziejach kultury, kiedy promień taki ogarnia szerokie masy; dzieją się wtedy rzeczy niezwykłe, następują kataklizmy i przełomy.

My od takiej chwili jesteśmy bardzo dalecy na pociechę rozsądku i dobrego trawienia

Ideał to nie zabawka, nie ozdoba, lecz ciężka służba. Służba samemu sobie, własnej duszy, własnej sile — służba ciągła, twarda, żmudna, trudna. Wchodzący w życie nietylko nie znają jej, lecz nie są zdolni do niej. W tem tkwi największa ich przeciętność.

Może to tylko do pewnego stopnia ich wina. Jeżeli stanąć na uboczu po nad światem i patrzeć, jak w nim wszystko, pomimo pozornej chaotyczności, ściśle powiązane jest z sobą łancuchem przyczyn i skutków, przypływów i odpływów, to można na chwilę uledz złudzeniu, że nad tym chaosem zawisła moc przeznaczenia, która kieruje, wydaje wyroki, każdego stawia na szachownicy i przeznacza do pewnej ilości poruszeń. Jeżeli jednak głębiej wejrzymy w bieg rzeczy, to konieczną konsekwencyą przysłuchania się pulsowi życia będzie świadomość, że nie jest ono zegarowem obracaniem się pewnego mechanizmu, lecz ciągłem tworzeniem i że najwyższą potęgą człowieka jest twórczość. I dlatego możemy twierdzić, że przed życiem, przed tą wielką tajemnicą, objawiającą się tylko mocnym i godnym jej, winnym jest każdy, kto zaprze się własnej duszy, kto zagasi w sobie iskrę człowieczeństwa i da się uwieść groszowej pokusie.

Na tej podstawie możemy przyłączyć i nasz głos do okrzyku — brak ludziom ideału.

Nie znaczy to bynajmniej, aby czasy, w których żyjemy, były marne i jałowe. Przeciwnie — po okresie reakcyi, spłaszczenia wszystkich pod jeden sznur, można dzisiaj spostrzedz znaczne ożywienie.

Tem ważniejszem jest to zjawisko, że zauważyć się daje na różnych polach życia: w literaturze, sztuce, nauce i nawet życiu społecznem. Nowych haseł nie brak, ideały są potężne i oparte na gruntownej podstawie rosnącego uświadomienia. Lecz, powtarzam, znaczna większość wchodzących w życie jest od nich bardzo daleka.

Nie idzie mi nawet o rzecz, tylko o znaczenie w życiu psychicznem człowieka takiego hasła, własną pracą zdobytego. Każde, w ten sposób przyswojone, będzie nowem, młodem, świeżem, wyrastającem z nowych widnokręgów wiedzy i czynu. Nie dochodzą one do nas w okresie dojrzewania. Natomiast bogato i obficie przedstawiają się hasła wczorajsze, już przeżyte i przetrawione, dziwnie wyblakłe, bez głębi i szczerości. One nietylko nie wypracowywują gruntu pod przyszłość, lecz go wyjaławiają, czynią młode dusze skarłowaciałemi, niezdolnemi do życia samodzielnego.

Tu doszliśmy do faktu — nie można żyć bez ideału; bo żyć to znaczy być wiernym prawu życia, które mówi: nasze siły niewyczerpane, lecz musisz wiecznie iść ku słońcu, w tym trudzie oraz rozwoju treści wewnętrznej jest siła, i los, i szczęście twoje. Bo ideał — to wypływ krwi i kości, myśli i namiętności, to rezultat pracy duchowej, kwiat mistyczny, wyrosły z duszy ludzkiej. Mieć ideał własny, to nie znaczy bynajmniej posiadać pewną gotową formułkę, schowaną w futerale. Niewielkie to niebezpieczeństwo, jeżeli ów wykwit ducha nie jest ściśle zbudowanym, główne znaczenie ma tu samodzielność w wytwarzaniu sztandaru myśli i głodu głębokiego za czemś, coby było wyższem po nad otaczającą teraźniejszość.

A apatya, bezsilność, przeciętność wchodzących w życie ogniskuje się w jednym wielkim grzechu, w ogromnej przeciw sobie samemu zbrodni — braku zdolności do wzlotu ku ideałom.

Obecnie ludzie wstydzą się ideałów. My szczycimy się trzeźwością i rozsądkiem; trzeźwość ta nasza polega na staniu w miejscu i niepodnoszeniu w górę głowy, bo doświadczenie mówi, że można dostać zawrotu. I brak ideałów stawiamy, jako ideał, a obywamy się wygodnie bez wznioślejszej myśli, choć na języku mamy niby święte hasła. I tłumimy w młodych głód ideału, oszukańczo podając im puste świecidełka, nie żądając niczego.

A ideał dla wchodzących w życie to kwestya być albo nie być, to drogowskaz, niezapożyczony od uczonego przewodnika i wskazań hodowcy, lecz pęd instynktowy zrodzony przez wewnętrzne upragnienie ducha, znającego wszystko, co już ludzkość zdobyła, i tęskniącego ku nowemu rozwojowi.

Ideał dla wchodzących w życie, to czarodziejskie światło, oświecające nieznane drogi, odpędzające potwory, wrót strzegące, to hymn, wiodący do zorzy, to uchylenie tajemniczej zasłony.

Kto przy wejściu w życie nie dosłyszy głębszego jego tętna, kto tylko wodzi słabym wzrokiem po zmartwiałej powierzchni, ten nie znajdzie pochodni własnej. Wiecznie w mroku, wiecznie w lęku — zatraca własną swą treść i staje się figurantem, statystą.

Kto młody i ma czującą wrażliwość na cichy szept, przejmujący go na progu chramu życia nieznanem uczuciem smutku, bólu i wesela, ten znajdzie pochodnię i żyć będzie — poczuje się wielkim mocarzem, szturmującym przyszłość.

br.

Kongres hygieny społecznej

Zadania hygieny społecznej z każdym dniem nabierają coraz większego znaczenia, a potrzeba należycie zorganizowanej walki z potężnemi chorobami społecznemi staje się coraz bardziej naglącą. Nie brakowało też we Francyi stowarzyszeń, które postawiły sobie za cel tę walkę z poszczególnemi plagami, nawiedzającemi ludzkość, a więc alkoholizmem, gruźlicą, śmiertelnością dzieci itp. Chodziło jednak o połączenie tych usiłowań rozproszonych i wzajemnie niekiedy sobie szkodzących w jedną całość, w jedną akcyę systematyczną i logiczną. Nie była to jednak rzecz łatwa zagłuszyć dążenia ambitne, zapomnieć o różnicach zasadniczych i urazach osobistych. Ostatecznie jednak, po wielu dyskusyach, przeprowadzonych w ciągu ubiegłej zimy, d. 16 czerwca stanął związek p. n. „Alliance d'hygiène sociale," z znanym ze swej energii b. prezydentem Rzeczypospolitej, Casimir-Perrier, na czele, a dokoła niego zgrupowały się wybitne osobistości świata lekarskiego i naukowo-ekonomicznego, jak Brouardel, Strauss, Grancher, Landouzy, Budin, Liard, Bourgeois, Millerand, Poincare, Mesureur, Cheysson, Picot itd. Kapitał zakładowy w ilości 70,000 fr. ofiarowali Rotszyldowie. Związek rozpoczął swoją działalność od zakładania komitetów prowincyonalnych i urządzania w rozmaitych miastach odczytów, mających na celu zapoznawanie ogółu z jego dążnościami i łączenie wszystkich stowarzyszeń i instytucyj, poświęconych hygienie społecznej. Nie będzie jednak ograniczał na tem swej działalności, zmierza bowiem do tego, aby przez owo jednoczenie rozproszonych usiłowań wszyscy mogli się dzielić zdobytemi obserwacyami i doświadczeniami, poddawać ogólnej krytyce różne sposoby walki, komunikować sobie wzajemnie osiągnięte rezultaty i zapoznawać się z nowemi wymaganiami hygieny, wynikającemi ze zdobyczy naukowych, dokonywanych codziennie.

Pierwszym na tej drodze krokiem było urządzenie w Arras od 20 do 24 lipca r. b. kongresu hygieny społecznej, łącznie z wystawą, która miała służyć, jako ilustracya kwestyj, postawionych na porządku dziennym, a mianowicie: wychowania noworodków, walki z gruźlicą i uzdrowotnienia wody. Kongresy takie odbywać się będą corocznie, a Związek, wierny zasadzie decentralizacyi, wyznaczać je zamierza za każdym razem w innej części kraju, aby tym sposobem właśnie poznać warunki miejscowe i zastosować do nich swe działanie. Na kongresie w Arras taką kwestyą lokalnego znaczenia było uzdrowotnienie wody; w tym celu przedstawiono cały szereg badań, przeprowadzonych przez instytut Pasteura w Lille.

Sprawa żywienia noworodków zajęła całe dwa posiedzenia, rozpatrywano ją co do trzech punktów: konieczności rozciągnięcia silnego nadzoru nad mlekiem, ustanowienia bezpłatnych porad dla dzieci, organizacyi instytucyj „Kropli mleka,“ wreszcie porozumienia towarzystw wzajemnej pomocy z instytucyami opieki nad matką i drobną dziatwą. Senator Strauss, jako prezes Ligi przeciw śmiertelności dzieci, zastanawiał się nad przyczynami natury patologicznej i społecznej, którym należy przypisać ową śmiertelność i dowodził, że założenie bezpłatnych lecznic dziecinnych oraz instytucyj „Kropli mleka,“ jako też przytulków dla kobiet brzemiennych może w znacznym stopniu przeciwdziałać tej klęsce. Bordas, asystent z Collège de France, rozpatrywał wszelkie rodzaje fałszowania mleka; Bonn, dyrektor miejskiego laboratoryum w Lille, komunikował rezultaty analizy mleka; wreszcie Montsarrat, weterynarz, mówił wogóle o produkcyi mleka, przeznaczonego na żywienie noworodków. Kongres wyraził życzenie, aby wzbroniono zaprawiania mleka środkami aseptycznymi, mającymi na celu przeszkodzenie fermentacyi, rozciągniono baczny dozór nad oborami oraz obowiązkowo używano tuberkuliny do rozpoznawania krów chorych.

Profesor wydziału lekarskiego w Lille, Ausset, dał interesujące sprawozdanie z instytucyj „Kropli mleka.“ Założone przed laty dziesięciu z inicyatywy dr. Dufour z Fecamp dla przeciwdziałania śmiertelności dzieci, rozmnożyły się naprzód w Normandyi, a następnie w całej Francyi. Są to prawdziwe szkoły matek, słyszą one tam bowiem nagany dla jednych, pochwały dla drugich, oraz rady lekarskie, jak w tym lub owym wypadku zachować się należy. Rezultatem tego w St. Pol sur Mer było, że śmiertelność wskutek dyaryi, dochodząca niegdyś do 50%, spadła do 1%. Wprawdzie ostatni kongres pedyatryi w Rouen wystąpił przeciw instytucyom „Gouttes de lait“ z uwagi, że one zachęcają niejako do sztucznego karmienia, w istocie jednak oddają ogromną usługę tej wielkiej ilości matek, zmuszonych do ciężkiej pracy fabrycznej i nieodżywiających się tak należycie, jak tego wymaga karmienie niemowlęcia.

Kwestya walki z gruźlicą rozpatrywaną była głównie z punktu roli, jaka w tym względzie przypada szkole, oraz udziału jaki mogłyby w niej wziąć stowarzyszenia wzajemnej pomocy. Pierwszą kwestyę rozbierał w długim referacie inspektor szkolny Leune, kończąc wnioskiem, aby państwo zaopiekowało się dotkniętymi gruźlicą nauczycielami, przez pomaganie w zakładaniu dla nich sanatoryów, oraz zapewnienie im pełnej pensyi wciągu całego okresu czasu niezdolności do pracy.

Po za kwestyami, postanowionemi z góry na porządku dziennym, rozpatrywano jeszcze hygienę mieszkań. Cheysson, prezes federacyi towarzystw antialkoholicznych, wymownie nawoływał do budowania mieszkań hygienicznych dla warstwy pracującej, a zanim to się da urzeczywistnić, do surowego przestrzegania przepisów hygienicznych w domach obecnie istniejących, zarówno w mieszkaniach, jak i warsztatach, które dotychczas są właściwie rozsadnikami chorób.

Na zamknięcie kongresu wygłosił mowę słynny dyalektyk parlamentarny Millerand, były minister, biorąc za przedmiot prawodawstwo, dotyczące hygieny przemysłowej. Zaznaczywszy zręcznie swe zasługi na tem polu w epoce, gdy był u władzy, Millerand, ten niegdyś zwolennik walki klas, zaleca dziś zgodne i harmonijne współpracownictwo inicyatywy prywatnej i rządu, pracodawców i pracujących, a hołd składa stowarzyszeniom wzajemnej pomocy, które nazywa „pionierami dnia wczorajszego, nauczycielami i współpracownikami na dziś i na jutro.“ Zwrot ten Milleranda, wobecnej chwili już aż nazbyt wyraźny, skwapliwie został zanotowany przez wsteczników, którzy cieszą się z tej ewolucyi ku zasadom socyologii liberalnej, chwalą go, że się pozbył chimer mglistych i haseł abstrakcyjnych i wnioskują, iż jako prezes komisyi emerytur robotniczych nie narazi na straty interesów państwowych i prywatnych. *Z.*

W sprawie wakacyj letnich.

Na życzenie, wyrażone w ostatnich „Rachunkach społecznych“ przez p. J. Dąbrowskiego, aby młodzież wypowiedziała się sama w sprawie poruszonej przez niego, otrzymaliśmy następującą odpowiedź, którą podajemy w całości, usunąwszy tylko ustęp, zawierający myśli, wyrażone już przez *br.* w artykułach, drukujących się w *Prawdzie*.

U nas od czasu do czasu napiszą coś o młodzieży i zarzucają jej brak inicyatywy — czy słusznie?

Ogół bardzo niechętnie przyjmuje czyjąś inicyatywę i tylko podstępem można go zdobyć dla pewnej sprawy. Wszelkie starania młodzieży po za trudnościami ze strony władz spotykają się ze stokroć większemi trudnościami ze strony wszelkich panów mecenasów i wogóle ludzi, kierujących opinią. Nie bronię tu młodzieży, tylko ostrzegam przed wyróżnianiem jej. Sądzę jednak, że przy umiejętnem kierownictwie możnaby przy jej pomocy dokonać wielu prac zbiorowych.

Nie zdaje mi się, by sprawa spędzania wakacyj przez młodzież była kiedykolwiek nieaktualną. Nie czas nawoływać na tydzień przed rozpoczęciem wakacyj. Czyby nie przydało się z początkiem roku szkolnego urządzić wywiadów po zakładach naukowych, jako zbiorowiskach młodzieży? W wywiadach tych powinno być zaznaczone, że i od osób prywatnych pożądane są odpowiedzi. Czas zwrotu należałoby oznaczyć na dzień 1 grudnia. Dane wskazałyby stan tej sprawy.

Nawołuje p. Dąbrowski do akcyi zbiorowej wśród samej młodzieży — ale co ma oznaczać ustęp:

„Czy to więc nie jest zerwaniem zasad solidarności i koleżeństwa taka całkowita obojętność na losy znacznego odłamu kolegów ze strony tych młodych, którzy mogliby w tym kierunku coś zdziałać?“

Kogo p. D. uważa za mogącego coś zdziałać? Czy tych, co po sześć godzin sypiają, by mieć dach nad głową i jeść dwa razy na dzień, chodzą zaś w dziurawych butach, bo gdyby chcieli mieć całe, to musieliby ograniczyć się do czterogodzinnego sypiania — i to niezawsze.

Bo chyba p. D. nie sądzi, że za pomocą filantropii, tj. zapraszania na wakacye biedniejszych kolegów przez bogatych, sprawa dałaby się załatwić. Czy p. D. zna wiele przykładów, by zamożni podejmowali jakąś akcyę niesienia pomocy, lub nawet dla celów naukowych? To dzieje się w Ameryce, gdzie miliony płyną na zakłady naukowe, muzea itd., ale nie u nas, gdzie daje się kilkaset rubli na msze lub wstawia się tablicę pamiątkową w kościele kosztem także kilkuset rubli. Egoizm ten już ktoś zaznaczył w prasie. Wiele dałoby się powiedzieć o bojności naszego ogółu, ale to do omawianej kwestyi nie należy. Z kogóż więc składa się młodzież i czy jest ona zdolną do czegoś?

Składa się ze „złotej,“ średniozamożnych „kowali“ i „sankiulotów.“ „Złota“ młodzież zawsze i wszędzie pędzi żywot jednaki, a tak wszystkim znany, że zbyteczna mówić o tem. Średniozamożni, przeważnie kowale, nie mają czasu na pracę pozaszkolną. Pozostają „sankiuloci,“ do których można przyłączyć część grupy poprzedniej. Ci przeważnie nie są zdolni do pracy społecznej: 1) z powodu wadliwej organizacyi szkół, 2) z powodu inercyi naszego społeczeństwa i 3) z powodu braku środków na cele naukowe, a nawet na utrzymanie.

Wadliwa organizacya szkół pochłania nieprodukcyjnie wiele czasu, nie daje możności przygotowania się do czegoś. Inercya społeczeństwa jest tak wielką, że trzeba wprost geniuszów, aby ją przezwyciężyć, a trudno wymagać tego od młodzieży. Stan zaś materyalny młodzieży mogłaby wyjaśnić stosowna ankieta.

Pan D. przytacza fakty, niekorzystnie świadczące o młodzieży, i gotów za to potępić ogół. Sądzę, że niesłusznie jest czynić ogół odpowiedzialnym za jednostki. Gdyby nawet takich jednostek była większość, o czem jestem przekonany, to także nie jest winą mniejszości. Ogół młodzieży, spojony okolicznościami przypadkowemi, wyrabiałby się, gdyby tak zwane życie koleżeńskie było rozwinięte. Do tego dążą niektórzy „zapaleńcy“ wśród młodzieży, a inteligentny jej ogół także gotów to popierać. W ciągu kilku lat pobytu w zakładzie naukowym doszedłem do przekonania, że życie koleżeńskie nie istnieje i nie należy dążyć do jego rozwinięcia. Objawy istniejące, zwane niekiedy życiem koleżeńskiem, są tylko czasowo przyjacielskimi związkami i ujemnie wpływają na rozwój młodzieży. Różnice społeczne (herby i różne inne względy nie są u naszej młodzieży przeżytkami), nie pozwalają łączyć się w większe grupy. Gdyby nawet to być mogło, to nie wyobrażam sobie idealnego życia koleżeńskiego młodzieży, jako grupy wyodrębnionej z reszty ogółu. Grupa taka po za ogółem, dzięki organizacyi wywierałaby wpływ niekorzystny. Sposób zjednywania dla sprawy przez same odezwy do młodzieży uważam za niewłaściwy. Najstosowniej byłoby zająć się zogniskowaniem istniejących jednostek przez założenie instytucyi pomocy naukowej. Sądzę, że tą drogą moglibyśmy czegoś się dowiedzieć i coś niecoś poprawić w życiu społecznem. Pukanie do mózgów „złotych“ nie przyniesie pożądanych skutków.

Ludzie kompetentni powinni wypracować projekt i załatwić formalności z władzą, co do założenia takiej instytucyi. Wtedy tylko poznamy młodzież z pierwszego źródła, gdy ona sama udzieli nam informacyj o sobie.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Nasze zmartwienie

W każdym a więc i w społecznym Olimpie niema wypadków drobnych. Jeżeli Jowisz kichnie, nieskończona przestrzeń odbrzmiewa mu echem. Grać znaczonemi kartami i oszukiwać, to takie ordynarne paskudztwo, że już nawet nie jesteśmy ciekawi nazwisk jego sprawców. Ale gdy to uczyni hrabia Bniński — całkiem „inne gadanie.“ Wtedy warto zatrudnić telegraf, zapełnić kolumny dzienników obszernemi sprawozdaniami i zająć uwagę publiczną na kilka tygodni. Bo naprzód taka padlinka ma przyjemną woń smacznego skandaliku, a powtóre są serca tak obywatelsko i — chociaż to dziwne — demokratycznie czułe, że każdy arystokratyczny skandal zadaje im głęboką i nieuleczalną ranę. Niech sobie tam zwyczajni śmiertelnicy mordują, kradną, oszukują, aby tylko przedstawiciele „sławnych i starych rodów“ zachowali swe imiona w czystości. Wtedy... Co będzie wtedy? Ściśle niewiadomo, ale po-

dobno będziemy mieli prawo śpiewać krakowiaki z dowolnym tekstem. To też „słusznie wyrażają pisma zdziwienie — powiada jedno z nich — że śród licznych arystokratów, którzy figurowali, jako świadkowie w rozprawie sądowej, nie znaleźli się tacy, którzyby zapobiegli wytoczeniu skandalicznego procesu. Wszak ich to było *obowiązkiem*.“ Tak, to było obowiązkiem panów i pań spokrewnionych lub znajomych z Bnińskimi, oszustwo jednego z nich schować pod korzec, zakryć, zatrzeć, stłumić, żeby o niem nie dowiedział się ani sąd, ani opinia publiczna. Z takiej hygieny rodzi się zdrowie moralne społeczeństwa.

Najciekawsze w tem wszystkiem jest to, że elegiści, którzy boleją nad plamieniem się „starych rodów“ i każą taić przed ogółem swą niecnotę, najmocniej wierzą, iż są prawdziwymi demokratami i surowymi moralistami. Najobszerniejsze jest państwo mimowolnego humoru. Ono nie ma granic. *d.*

Z katarynki „pracy organicznej“

Kuryer Codzienny „probuje wyjaśnić“ fakt niezadawalających wyników egzaminacyjnych młodzieży naszej w wyższych zakładach naukowych oryginalnym wywodem, który ma sięgnąć głębiej, niż powierzchowność pism warszawskich. Według autora tej wykładni, p. A. L. Szymańskiego, winowajczynią smutnego zjawiska jest — no, przecież chyba domyślacie się! — nieszczęśliwa, tyloma już zbrodniami obciążona grzesznica „praca organiczna.“ Dla tłumu zamieniła się ona na „dążenie do ogólnego dobrobytu,“ a „jako dobrobyt przedstawiono sobie szczelnie napełniony żołądek.“ Skutkiem tego Jaś i Staś uczą się dziś tylko dla karyery, nie dla rozszerzenia swej wiedzy.

Ponieważ argumentacya swojska nie ma dla nas dość przekonywającej siły, więc pragnęlibyśmy, ażeby tę „próbę wyjaśnienia przeczytał jakiś Niemiec, Francuz lub Anglik i orzekł, co należy sądzić o rozumie, który hasło „pracy organicznej“ i dążenie do ogólnego dobrobytu mianuje przyczyną zaniedbywania się młodzieży uniwersyteckiej w studyach szkolnych? *g.*

Nowy zwrot.

Ciekawy przyczynek do kwestyi kryzysu i braku pracy stanowi jeszcze jeden list ziemianina, pomieszczony w *Kuryerze Warszawskim.* Potwierdza on wątpliwości powstające przy czytaniu zaproszeń ludności robotniczej na rolę, przez ludzi różowo na świat patrzących. Mówiąc o położeniu najuboższych włościan, t. j. tych, „którzy zarobkiem rąk dorabiali to, czego rola nie dała“, pisze autor tego listu: „położenie ich w r. b. będzie wręcz rozpaczliwe. Pomijając już drożyznę wszelkich koniecznych potrzeb, pozwalam sobie zwrócić uwagę na znaczne ograniczenie pola zarobkowania tego właśnie odłamu ludności wiejskiej.

Przedewszystkiem główne źródło zarobkowe: folwarki mniej w r. b. z naturalnych przyczyn użytkują robocizny. Mniejsza liczba kop, więc mniejsza liczba kosiarzy i żeńców, a w dalszym ciągu młocek i t. d.“ Słowa te stanowią niezwykle ważny dokument tem bardziej, że pogląd w nich wypowiedziany, wydaje się zupełnie słusznym i trafnym. Podobną wartość ma jeszcze jeden ustęp tego listu: „o ile w poszczególnych przypadkach używanie żołnierzy do robót gospodarskich lub kolejowych, może okazać się dogodniejszem, to bądź co bądź jest to ograniczeniem zarobkowania bardziej potrzebujących“.

Z pewnością głos ten jest i pozostanie pojedyńczym. Ogół ziemian nie zaprzestanie czynienia wysiłków w celu obniżenia zarobków i... będzie czule zapraszał na rolę tych, którym głód każe przyjąć wszelkie warunki. W każdym razie, choć odosobniony, list ten stanowi ważny przyczynek do sprawy. Powrócimy do niego przy szerszem omawianiu sposobu, w jaki się u nas walczy z klęską społeczną. *ki.*

Powrotna fala.

Przed kilku laty, kiedy hasła nowej sztuki poczęły rozbrzmiewać w Krakowie, głos ich objął dość szerokie koła młodzieży. Przeciw zamiarom roznosicieli tych haseł po wszystkich krańcach kraju wystąpili różni wyznawcy modernizmu. Jak zawsze przy pojawieniu się nowego prądu, nieliczne jednostki odczuły i pojęły treść jego, a gromady kawiarnianych „twórców,“ nie zadając swej mózgownicy zbytniej pracy, przejęły — sposób uczesania, zawiązywania krawatów i t. p. bardziej „działające“ na tłum efekty. Dyskredytowali oni i ośmieszali cały ruch. Nawet między głębszymi i zdolniejszymi z plejady samotników bilardowych niektórzy przyjęli ów efektowny i plastyczny zwyczaj plucia. Tylko dla ułatwienia sobie tej pracy pluli przeważnie na to, „co nie jest plunięcia warte,“ albo na wszystko, co nie miało widocznego związku z pisaniem wierszy. Zastrzegam się, że mówię o pewnego rodzaju ciurach obozowych, którzy nie rozumiejąc życia, nie znajdując podstawy w samodzielnym rozwoju własnej indywidualności, swem niby szyderstwem obrzucali to, czego ani odczuć, ani zrozumieć nie mogli.

Dziś po upływie lat kilku, co robią ci półbogowie, drwiącem okiem spoglądający na mrowie ludzkie? Sprzedają swoją osobę za marne parę srebrników. Idą pod sztandar reakcyi i zaczynają z jej punktu widzenia pisać artykuły... społeczne. Nie brak między nimi ludzi z pewną przeszłością artystyczną. Ci, co przedtem gromy ciskali w „Młodości,“ dziś przybrali sobie przydomki i piszą w *Słowie*. Cała falanga zaszczyciła Warszawę, tę oplwaną tyle razy przez nich Warszawę, i w różnych *Słowach, Kuryerach, Gońcach* pouczają i wzruszają czytelników. Recepta znana: trochę sentymentalizmu, trochę wymyślania, pesymizmu i optymizmu na przemian; do tego pewna doza ironii, cytat o zagranicy i nic więcej. *b.*

Życie ludzkie.

Goniec Poranny podał w tych dniach wiadomość następującej treści: W pewnej fabryce położonej na Litwie, wszedł do kotła celem reparacyi kotlarz razem z sześciu chłopakami. Ustawiwszy ich przy robocie, wyszedł. Przez zapomnienie nie zamknął kranu i w przeciągu bardzo krótkiej chwili chłopcy przestali żyć. Ratunek był daremny.

Bardzo zwykły, przeciętny fakt. Ponieważ to byli ot, tacy „prości“ chłopcy, więc naturalnie pisma o tym wypadku milczą. Żeby tu szło o synów bogatego fabrykanta lub przemysłowca, to co innego, a tak to rzecz zwyczajna. Wobec prawa odpowiada kotlarz za niedokładność. Może i dyrektor. Nie znam paragrafów kodeksu. A właściciele? Ci przecież, nie mając z danym wypadkiem żadnej łączności, nie mogą ponosić odpowiedzialności za niedbałość lub nieostrożność podwładnego. To mówi logika tak zwanej opinii publicznej. — Chciałbym wysunąć tu na plan pierwszy parę rzeczy mniej lub więcej związanych z tem pognębiająco-smutnem zdarzeniem. Przedewszystkiem nagi fakt: sześciu chłopców ginie, 6 organizacyi ludzkich, 6 odrębnych, zamkniętych w sobie światów, 6 żyć przestaje istnieć; w ogromie wszechświata, to może drobna przemiana, lecz wobec wielkości i znaczenia jednostki, to gwałt i morderstwo. Kto winien? Winien—to nie znaczy podlegający odpowiedzialności sądowej, winien jest ten, kto ma obowiązek zabezpieczenia życia tych, którzy za nędzny ochłap wynagrodzenia dają mu pracę i zaniecha tego uczynić. Szare, codzienne funkcye robotnicze w wielkich fabrykach odbywają się z natury rzeczy maszynowo i automatycznie, lecz właśnie o to idzie, aby pilnować tej maszynowości przy robotach, narażających życie ludzkie. Idzie tylko o to, aby z tą samą automatycznością, z jaką właściciel, czy jego funkcyonaryusz przyjmuje obstalunki, nakłada kary itd., aby z tą samą automatycznością obejrzał wszelkie krany, śruby, koła itd. grożące niebezpieczeństwem. Najlżejsze zaniedbanie, najdrobniejsze lekceważenie, spuszczenie się na kogokolwiek jest zbrodnią, tem większą, że opinia publiczna na tego rodzaju przestępstwa patrzy oburzająco łaskawie i pobłażliwie. *z.*

BADANIA NAUKOWE.

Energietyka jako filozofia przyrody.

Jednym z najważniejszych tworów myśli ludzkiej w ubiegłem stuleciu jest nauka o energii; łącząc w sobie wszystkie zjawiska natury, staje się ona uogólnieniem i dalszym stopniem w rozwoju termodynamiki. Bez pojęcia o energietyce niepodobna zrozumieć tych dziwnych i tak skomplikowanych zjawisk, jak np. własności radium, powietrze płynne, telegraf bez drutu itp.

W roku 1824 ukazała się praca Carnot'a „Sur la puissance motrice du feu“ — kamień węgielny termodynamiki. Autor twierdzi, że dla wykonania jakiejkolwiek pracy ciepłota, podobnie jak woda, musi przechodzić od wyższej temperatury do niższej. Dalej Robert Mayer (1842) Helmholc swem dziełem „Ueber erhaltung der Kraft“ wydanem w pięć lat po Mayerze, Thomson, Holcmann, Helm i wielu innych położyli niepożyte zasługi w rozwoju termodynamiki i energietyki, tworząc dla niej nowe prawa. Wreszcie słynny profesor lipskiego uniwersytetu, Ostwald w „Filozofii przyrody“ (w r. 1901) stworzył systemat filozoficzny, oparty na energietycznym poglądzie na świat.

Jaki stosunek zachodzi pomiędzy owemi zasadami fizyki i życiem duchowem człowieka, jego psychą, oto pytanie na które szukamy dziś odpowiedzi.

Przedewszystkiem czem jest owa wszechpotężna energia? Nim na to odpowiemy zadajmy sobie pytanie — powiada Auerbach — czy istnieje jeszcze coś tak realnego, jak materya, coś coby się dało również nabywać za pieniądze? Każdy odpowie, że płaci się za pracę, która często jest droższą od materyału. A więc prócz materyi znajduje się jeszcze coś równie realnego — praca.

Pracę wykonywa murarz, podnosząc ciężar cegły na wysokość rusztowania budowy i pracę też wykonywa nauczyciel, podnosząc stopień umysłowego rozwoju ucznia. Oto jasny przykład analogii pomiędzy duchowym i fizycznym procesem człowieka.

Dalej każdy materyał, którego używamy, bierzemy z jakichś zapasów — jego składów, z pracą dzieje się to samo, a zapas jej znajdujemy wśród otaczającej nas natury. *Zapas pracy nazywamy energią.* Stąd wniosek, że mamy materyę i energię rozproszoną w całym wszechświecie.

Chemia traktuje o zmienności materyi, a fizyka jest nauką o zmienności energii; wszystkie zjawiska przyrody, przez nas obserwowane, jasnemi się staną, gdy je tłomaczyć będziemy tą zmiennością energii.

W każdem ciele fizycznem znajduje się prócz materyi jeszcze pewien zapas energii np. w kilku kilogramach prochu mamy olbrzymi zapas energii respect. pracy, która się udziela wyrzuconemu z armaty pociskowi. Również praca umysłowa zużytkowywa pewien zapas energii, wiemy bowiem, że każdy proces myślowy wywołuje znużenie, podobnie jak praca mechaniczna.

Prowadząc dalej paralellę pomiędzy materyą i energią, stajemy wobec prawa niezniszczalności materyi, która może być przekształconą, zmienioną z jednego rodzaju w drugi, lecz nigdy nie da się stworzyć lub zniszczyć, stąd *zapas materyi jest stałym*. Tak samo ma się rzecz z energią, jest to pierwsze i najważniejsze założenie energietyki. Prawo niezniszczalności dowodzi nam, iż stworzenie jakiegoś „Perpetuum mobile“ dającego pracę bez zużycia innej jakiejś pracy, jest absurdem.

Mniemanie, że życie duchowe i fizyczne stanowi dwa odrębne i wzajem od siebie niezależne światy, jest conajmniej przesądem przestarzałym, bowiem oddziaływanie na się tych światów jest obecnie udowodnione nauką i faktami, a jeśli tak, to zapas energii duchowej we wszechświecie nie może pozostawać bez zmiany, przyczem tylko częściowa jej zamiana byłaby możliwą, suma pozostawałaby zawsze jednakową: lecz ten zapas może się zwiększać lub zmniejszać kosztem wydzielanej energii fizycznej. Stąd płynie możność podniesienia ilości energii duchowej, doskonalenia życia duchowego ludzkości. Istnieje postępowy rozwój kultury ludzkiej.

Carnot dowiódł, że dla wykonania pracy przez silnicę parową trzeba przepływu wysokiej temperatury z kotła do chłodnika z niską temperaturą, przyczem ciepłota tylko częściowo zamienia się na pracę. Podobnie jak dla ruchu ciepłoty wymaganą jest różnica temperatur, dla elektryczności konieczną jest różnica potencyałów, tj. stopni napięcia, a dla gazów i płynów różnica wysokości powierzchni, tj. ciśnienia itd. Stąd wypływa drugie założenie energietyki, które prof. Helm sformułował: „Energia wszelkiego rodzaju dąży od wyższego napięcia do niższego.“ Prawem tem tłomaczy się również i nieregularność we wszystkich niemal zjawiskach przyrody. Przejście energii, jej zamiana zwykle się odbywa w jednym kierunku, mianowicie: każda energia dąży do zamiany na ciepłotę i tem samem się *rozprasza*. Odwrotna zaś zamiana: przejście ciepłoty w energię, respect. pracę, nie może dziać się samo przez się, lecz tylko w warunkach, w jakich np. znajduje się maszyna parowa, i jak dowiódł Klauziusz, przejście to nie jest nigdy całkowitem.

Objaśniamy sobie to tem, że wszelki ruch prawidłowy i regularny z różnych powodów zewnętrznych, a często i wewnętrznych, staje się nieregularnym i nieprawidłowy , przejście zaś odwrotne jest możliwem t lko przy wykonaniu pewnej pracy. Jeśl uznamy, że ruch cieplikowy cząsteczek pewnego ciała jest nieregularny, to zro umiemy po części tę łatwość, z jaką ro maite rodzaje energii zamieniają się na ci płotę.

Doszliśmy więc do wniosku, że energia nieustannie się rozprasza. Swobodnej energii, zdolnej do nowych przeobrażeń, będzie coraz mniej i z tego powodu musi wreszcie nastąpić zupełna martwota światów.

Kiedyż nadejdzie ów koniec? — pytamy.

Energia rozproszona jest w nieskończonej przestrzeni wszechświata, im dalej, z tem mniejszą szybkością będą następować jej zmiany z powodu zmniejszania się różnic napięcia, a więc przepowia dany koniec świata nastąpi za nieskończoną ilość lat — nie nastąpi nigdy!

Teraz pytanie, co dzieje się z energią? jaką drogą postępuje proces jej zmiany, gdy ma tych dróg kilka? A priori powiedzieć możemy, że tą drogą, jaka jest najłatwiejsza i najprędzej prowadzi do celu— wystarczy nam tu przykład. Potok, spadający z góry, ma wiele dróg, wybiera, gdy nic mu nie stoi na przeszkodzie, tę, która daje największy kąt nachylenia, bo tam siła spadku jest najpotężniejsza, a opór najmniejszy. I zrozumiałem nam będzie maksymalne prawo Ostwalda: ze wszystkich możliwych przejść energii urzeczywistnia się zwykle to, które w jakimś przeciągu czasu daje największą jej zamianę.“

Czy prawo Ostwalda można zastosować do życia psychicznego człowieka? Bezwarunkowo tak!

Każdy z nas, świadomie lub nie, stara się dojść do zamierzonego celu najkrótszą i najłatwiejszą drogą z możliwie najmniejszym nakładem sił i niepotrzebną stratą czasu; nawet w czysto abstrakcyjnych kontemplacyach, gdy się w nie wmyślimy, panuje jakaś nieświadoma, żywiołowa chęć oszczędności pracy.

I życie ludzkie płynie, jak ten potok górski, zawsze w pewnym, oznaczonym kierunku, to obchodząc, to niszcząc i waląc napotkane przeszkody — zawsze naprzód!

A. Roszkowski.

LITERATURA I SZTUKA.

ODGŁOSY.

Sewer: *Michał Kopeć. W lesie. Z Krakowa do Medyolanu*. Nakl. Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1903. Wł. St. Reymont: *Sprawiedliwie*. Nakl. Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1902 i 1903.

Podróż z Krakowa do Medyolanu odbył Sewer z wrodzonym mu temperamentem, opisał z werwą i opromienił uśmiechem niepoprawnego idealisty. Nie przesądzę, jeżeli powiem, że od początku do końca podróży jakiś serdeczny, rozbrajający optymizm towarzyszy autorowi i różowi mu drogę. Sewer nawet w mrokach jasne dostrzega barwy, a zwątpienie i gorycz nie mają do niego dostępu.

Jedzie np. przez ziemię Słowaków, „serce wielkomorawskiego państwa z przed tysiąca lat,“ i woła: „Bywaj, poczciwy ludzie, cichy i serdeczny! Tysiąc lat burze wstrząsają cię, jak kłosy zbóż, ty trwasz *niezmieniony*. Z zachodu nawała niemiecka, ze wschodu dzicz Hunnów gniotą cię, mordują — ty trwasz, *urągasz* burzom i katom!..“

I wierzy Sewer w jasną przyszłość poczciwego ludu, ale wiary tej nie uzasadnia. Nic dziwnego. Sewer wierzy... sercem i wiara jego zawsze jest taka, jaką mu w danej chwili serce podyktuje. To też z Sewerem trudno się sprzeczać, ale i wierzyć mu trudno, nie można natomiast wątpić o jego szczerości.

Świeżość wrażeń i zachwytów, granicząca niekiedy z naiwnością— oto cechy tych kartek z podróży. Niema w nich humoru i dowcipu niema, ale jest bardzo dużo pogody, jest werwa i rzeźkość młodzieńcza, a to w zupełności osiąga cel zamierzony, jeżeli celem autora było: nie znużyć czytelnika.

Sielanka „W lesie“ — to odwieczna historya miłosna. Tchnął w nią Sewer świeżość swych uczuć i rzecz, jak świat starą, potrafił uczynić zajmującą. Niestety!.. tylko zajmującą. Całość, zbyt nienaturalna, nie robi głębokiego wrażenia.

„Michał Kopeć“ — to najlepsza rzecz z całego zbiorku. Posłuchajmy, jak na samym wstępie użala się bohater powieści:

„...Cosik mnie chyta za gardło i lęk zbiera, jak gdyby śmierć zaglądała mi w oczy... Dziecek pięcioro, jedna łopata, sześcioro rąk: moje, Jadzyne i Kaśki!.. Bójcie się Boga, ziemniaków nie wystarczy na bez-tydzień, i z grosza żyj, a do żniw daleko...“ Tak szepcze do siebie Michał Kopeć i żal wielki ściska mu serce. Co robić?.. Jakże tu zaradzić złemu?.. Oj, dolo-ż chłopa polskiego, smutna, bardzo smutna dolo! Ach! żeby choć krowa była!.. Niestety, „trawka od rośnięcia mruczy, a bydlątka ani jednego, ani jednego!..“ Wyżyw-że pięcioro dziecek bez odrobiny mleka!“ To prawda, bądź mądry i wyżyw w takich warunkach pięcioro dzieci. „Jaga ci cudów dokazuje, że jeszcze nie pomarły!..“ Tak, *jeszcze* nie pomarły — to cała pociecha, ale do żniw daleko, a tymczasem... Co począć?!. A no, wędruje lud polski za morze i tam widzi zbawienie od śmierci głodowej swoich własnych dzieci, powędruje i Kopeć.., „Odleci od baby, dziecek, od tej świętej ziemi i tego słonka,“ odleci w świat dalek i hen, za morze, do „Hameryki“ i w obcych krajach szukać będzie szczęścia... W obcych krajach!.. Łatwo to powiedzieć, ach, łatwo, lecz trudniej zamiar taki urzeczywistnić. Więc walczy ze sobą Kopeć, zmaga się, mocuje. Sercem nędzarza coraz większy ból ściska, ale „dziecek pięcioro a bydlątka ani jednego!“ Niema rady, trza jechać! Pojechał. Na tem kończy się dramat i odtąd zaczyna się komedya, w której nie brak scen rzewnych. Za oceanem tęsknica za krajem i za swoimi żre serce wychodźcy, ale powodzi mu się nieźle. Wprawdzie w tej „przeklętej Hameryce“ każą mu doić krowy, przed czem natura chłopska wzdryga się, jak dyabeł przed święconą wodą, ale zarobki dobre, a nadzieja szybkiego powrotu osładza gorzki los emigranta. Więc pracuje, dorabia się i powraca do swoich. „Sześć stówek“ przywiózł ze sobą.. Szczęśliwy!.. Niejeden Michał szukał szczęścia za morzem, a znalazł głód, nędzę i poniewierkę. Kopciowi uśmiechały się losy... Szczęśliwy!

Z Michałem pojechała i córka jego, Kaśka, która również odrazu znalazła robotę i zarabiała tyle, że po krótkim czasie posłała na drogę pieniądze narzeczonemu. Przyjechał Sobek do Hameryki i obaczył swoją Kaśkę, ubraną w suknie miejskie. Zatrwożył się chłop srodze, bo i jakże tu gadać z taką wielką panią. Sposępniał i zgryzota zakrada mu się do serca. „W Dołędze byłaś inaksza...“ A tu? „Tu pani — szepnął.“ Bez co? bez co? „Bez wszystko i bez tę suknię, bez kapelusz, bez pańskość swoją, ze trzeba się ciebie bać.“ — Nie chcę, żebyś się mnie bał. Załkała głośno, zdarła z głowy kapelusz i z całych sił rzuciła go na ziemię. Sobek podniósł i pochyliwszy głowę, milczał. — I czegóż stoisz, jak głupi? „Tu jestem głupi — odpowiada Sobek — ale w Dołędze...“ — Co w Dołędze? „Sprałbym cię, tobyś nie brewerowała.“ — To mnie pierz — rzuciła mu się w objęcia — to mnie jucho pierz, jeno się lubuj we mnie, nie w pani, tylko w swojej Kasi, słyszysz?...“

W taki to sposób „flirtują“ ze sobą chłopi Sewera, na których pogodne usposobienie autora pada, jak wesoły promień i wysłonecznia mrok, tkwiący w duszy chłopskiej. Na dnie tej duszy kryje się często posępna tragedya, tkwi w niej ból człowieczy, drzemią wielkie namiętności i płoną iskry, które lada podmuch w pożar rozpłomienia. Ale tego wszystkiego Sewer nie dostrzega. Nie kłamie, gdy przedstawia nam chłopa, ale i prawdy całej nie mówi. Prawdę tę znajdziemy u Reymonta.

Od „Michała Kopcia“ do „Sprawiedliwie“ przejście jest niedostrzegalne. Ten sam świat nędzy i ciemnoty i ludzie ci sami w obu występują utworach, a jednak przepaść dzieli te powieści.

Czytam „Sprawiedliwie“ i przed oczyma

wyrasta mi nie poczciwy kmiotek i nie wesoły mazur z dziarską piosenką na ustach, lecz człowiek z całym ogromem swych cierpień, pragnień i pożądań. Niezwykły to człowiek! Na nieszczęście zahartowany jest jak najpyszniejsza stal. Kiedy cierpi, to cierpi naprawdę, bez pozy i blagi, najczęściej skupiony w sobie, a silny i niewzruszony, jak mur. Wszystkie uczucia ludzkie właściwe są jego duszy. Jest jak wicher, bujający w przestrzeniach... Od szczytów najwznioślejszego poświęcenia spada w doliny brudnych namiętności. Jest jak rzeka... Płynie spokojnie swojem korytem, lecz w chwilach wezbrania wody druzgocze tamy, zalewa brzegi i, szukając ujścia daleko po za odwiecznem łożyskiem, huczy wezbranemi falami, niesie strach, śmierć i zniszczenie. Jest jak łan zboża... Miotany wiatrem, prażony słońcem i sieczony ulewami, słania się, gorze, pada, i znowu się podnosi i błyszczy całą swą krasą; podcięty kosą, umiera, jak bohater.

A przedewszystkiem chłop Reymonta jest człowiekiem.

I na to kładę nacisk szczególny. Bo mamy dzisiaj dwie literatury i dwa rodzaje bohaterów. W pierwszej z nich spotykamy nadludzi, podludzi, półludzi i nieludzi (najwięcej tych ostatnich), w drugiej dostrzegamy człowieka. Twórcy tej drugiej porwali szablon na strzępy i oni to odsłonili nam *naszą własną duszę* i językiem *naszej duszy* zaczęli do nas przemawiać. W tem tkwi dla mnie cała tajemnica t. zw. „wartości“ utworów beletrystycznych. Bo mimo wszystko, co się mówi i pisze, dusza ludzka jest jedna — bez względu na to, jakie zamieszkuje ciała. Wrażenia tego doznaję zawsze, gdy czytam szczerze natchnione dzieło wielkiego artysty. A za wielkiego artystę uważam Reymonta i za utwór szczerego natchnienia jego „Sprawiedliwie.“ Dusza odmalowanych w nich chłopów jest duszą ludzką, bez względu na „stanowisko socyalne“ bohaterów, bez względu na ich nizki „stopień wykształcenia“ itp. mydlenie oczu, patrzących na świat wzrokiem pożyczanym.

„Jeno płakanie, jeno żałość, jeno umęczenie duszne chodzi po świecie, a ty, człowieku, cierp, a ty robaku baruj się z niemi, a ty, sieroto, oganiej się, a ty, nieszczęśniku, uciekaj, choćby za bory, choćby za morza, a ułapi cię za gardziel, gdziebyś się i nie schował.

O dolo! dolo! dolo!

A ludzie są, jak te wody: ani wiedzą skąd, ani wiedzą po co, ani wiedzą dokąd?

A ludzie są, jak te chmurki, co je wiater żenie, to tu, to tam, po całym świecie... jak te listeczki, co je wiater drzewom pokradł i wieje niemi na pola, na lasy i rzuca na zatracenie; jak ten dzień, co był wczoraj, a już go ani dzisiaj, ani nigdy niema.

I zmiłowania, niema, i poratunku niema, i uciekania niema...

I gdzie ucieczniesz przed dolą człowieku-sieroto, gdzie?

Chyba ułapisz się, biedoto, tych gwiazdów i dufające serce oddasz Panu jezusowemu miłosierdziu!

O dolo! dolo! dolo!

Tak rozżalała się dusza Winciorkowej, sieroca, smutna dusza matki cierpiącej....“

Dusza matki cierpiącej!..

Reymont zrozumiał, że dusza matki cierpiącej jest, jak Golgota, na której tysiąc krzyżów krwią serdeczną ocieka i wyposażył Winciorkową w całe bogactwo uczuć, na jakie tylko matki zdobyć się potrafią.

Jasiek Winciorek uciekł z więzienia. Dokąd pójdzie, tropiony, jak zwierz przez psy gończe, gdzież znajdzie ukojenie i spokój? Serce matki staje się ostoją dla znękanej duszy, a dom jej twierdzą, której bronić będzie mocarz niepokonany: bezbrzeżna miłość matczyna.

Jasiek przywlókł się do domu raniony, ledwo żyw, więc nietylko ukryć potrzeba: trzeba także go leczyć. Jedna słaba kobieta bez sekundy wahania bierze na swoje barki cały ciężar zadania i dźwiga go, jak męczenica. I żyje prawdziwie po męczeńsku. To strach o życie dziecka ostre, nielitościwe szpony zatapia w jej sercu, to znowu lęk o jego bezpieczeństwo chwyta ją za włosy i mroźnym dreszczem przerażenia przebiega po ciele.

Ta chłopka cierpi prawdziwie po królewsku. „Najsubtelniejsza“ dama, wykształcona na „subtelnych“ romansach francuskich wszystkich świetnych psychologów materacowych à la Bourget, nie umiałaby się zdobyć na dystyngowańszą delikatność uczuć. Ból matki Jaśka jest w całem znaczeniu tego słowa odwiecznym bólem ludzkim, tkwiącym, jak grot krwawy, w olbrzymiej, zbiorowej duszy ludzkości.

Cierpienia Winciorkowej tem jeszcze są spotęgowane, że już raz w życiu przeszła przez podobne piekło.

„...Trzydzieści roków temu chłop jej z młodszym dziedzicem poszedł w las. Poszedł, bo był dobry strzelec, jako i Jasiek... Zatrzęsła się na to wspomnienie ... Drgnęła nagle, trzask jakichś wystrzałów zbudził się w jej duszy!.. Tak samo było to na wiosnę, tak samo roztopy we dnie, a przymrozki w nocy... W taki sam poranek przynieśli jej prawie nieżywego... Pamięta jeszcze te jego pokrwawione szmaty!.. W tym samym alkierzu chowała go i broniła przed śmiercią.. i obroniła.. I na co! O Jezu, Jezu, mój słodki!.. Łzy pociekły po jej twarzy... Pognali go w tyli świat, że go już nigdy nie widziała...“ I na to święte wspomnienie przebytych cierpień modlić się poczęła goraco, błagalnie, „ale uczucie i świadomość tak się jej splątały, że zaczęła modlić się za męża, a modliła się o zdrowie syna...“

Obok matki i syna, ludzi z ciała, krwi i kości, jeszcze jedna postać nazawsze zostanie w mej pamięci z powieści „Sprawiedliwie.“ Postać to narysowana w konturach, wyciosana zgruba, ale tak silnie i z taką plastyką, że gwałtem osobnej doprasza się wzmianki. Jest nią dziad ślepiec, stary włóczęga, wyga, „kuty na cztery nogi“, polski Chilo-Chilonides, albo mówiąc jeszcze inaczej, „chłopski Zagłoba z całym sprytem i — że użyję najbanalniejszego, a po tysiąc razy nadużywanego dzisiaj terminu — z całą psychologią Chilona-Zagłoby Sienkiewiczowskiego.

A. Śliwiński.

NOWE KSIĄŻKI

Andrzej Gide: **Prometeusz źle spętany.** Przekład Miriama. Rysunki St. Dębickiego. Nakładem księgarni H. Altenberga we Lwowie.

Idzie sobie jeden pan, drugi go trąca, ten przeprasza, tamten prosi o przysługę, za co obdarza — policzkiem, wynagradzając trzeciego, nie niewiedzącego o tym pierwszym i tym drugim, — to się nazywa przyczynowość. — Każdy z nas ma swego orła, tuczy go własnem ciałem; sam chudnie, gdy orzeł tyje, nabiera sił i piór; z rozkoszą podnosimy brzeg kamizelki i nadstawiamy wątrobę, aby ptak używał i potężniał. Później, gdy orzeł utyje, zabija się go i spożywa razem z przyjaciółmi, obficie podlewając winem. To znów, nosi miano — prometeizmu. Życie jest pięknem, o tem, obok dwu tych opowieści, uczy bajeczka o Tytyrze, Idei, Eulalii i Melibeusie. A zakończenie bardzo pouczające: „gdyby mnie był mniej dręczył, byłby mniej tłusty, a gdyby nie był tak tłusty, byłby mniej wyśmienity.

— Z jego piękności wczorajszej cóż pozostało?

— Zachowałem wszystkie jego pióra.

Wielką zasługą Miriama jest przyswojenie tego utworu naszej literaturze. Forma językowa, jak zawsze u tego tłomacza wytworna, tworzy z przekładu czyn artystyczny. Co do oryginału to zbyt bezpośrednią jest siła sarkazmu, ironii i uchwycenie życia na gorącym uczynku, aby przypominać ją czytającej publiczności. Autor, świetny stylista, posiada niezwykły, oryginalny dar ujmowania zjawisk świata z odrębnej strony. Jego ironia obcą jest wszelkiej codziennej humorystyce, a sięga do nerwu, który łączy niewidzialnie różne „zdarzenia,“ różnych ludzi w jedną napozór chaotyczną masę.

Z. B.

— Paul Souriau: **La beauté rationnelle.** Paris, 1904. Alcan.

Mamy tu nową próbę rozwiązania skomplikowanej kwestyi estetyki. Autor stoi na pół drogi między metodą psychologiczną a dawną, którą można nazwać logiczno-dedukcyjną, usiłującą z wyobrażenia piękna wysnuwać prawa i pojęcia estetyczne. Pojęcie piękna podług niego nie wchodzi w zakres oddzielnej sfery potrzeb ducha ludzkiego, lecz jest tylko wyższą formą idei dobra. „Między dobrem a pięknem jest tylko różnica stopnia,“ piękno jest to „evidente perfection“ (widoczna doskonałość). Oprócz tego za składową część idei piękna uznaje on pojęcie celowości. Przy tworzeniu, odczuwaniu dzieła piękna podkreśla p. S. silnie kontrolującą rolę rozumu. Nieprzyznawanie pięknu oddzielnego, wyodrębnionego stanowiska w psychice człowieka pociąga za sobę liczne dowodzenia o stosunku estetyki do etyki, o obowiązkach moralnych, społecznych dla artystów itd.

Książka ta jest ciekawa, jako rzecz napisana zręcznie, wprawnie i logicznie co do swego założenia, lecz ludzie mało obeznani z literaturą przedmiotu i nieposiadający wyrobienia krytycznego mogą z niej powziąć jednostronne pojęcie o kwestyach, które autor rozpatruje.

SPRAWY EKONOMICZNE

Kolonie robocze w Belgii.

Pisaliśmy niedawno w *Prawdzie* o niemogących znaleźć zajęcia i niezdolnych do pracy; jedni i drudzy znajdują się w każdym społeczeństwie, zagrażając w równej mierze jego zdrowiu moralnemu i fizycznemu. Niemożność znalezienia pracy wypływa zazwyczaj z braku uzdolnienia do niej, co wobec dzisiejszych wymagań coraz trudniejszem czyni położenie ludzi, nieposiadających żadnego specyalnego przygotowania. Stopnie tej nieudolności bywają rozmaite: czasami zły stan zdrowia, częściej jednak pijaństwo jest jej powodem. Trafiają się między niezdolnymi do pracy i tacy, którzy zaczęli życie u samego szczytu jakiegoś zawodu i powoli, krok za krokiem, staczając się po pochyłości, zatracili zręczność techniczną, zmysł i pilność w robocie, z wędrujących w poszukiwaniu zajęcia przeistoczyli się w nałogowych włóczęgów — żebraków. Rozmaicie w różnych krajach usiłują zaradzić tej klęsce: w Anglii włóczęgostwo i żebranina karane są jak przestępstwo. Ludzi pozbawionych zajęcia przymusowego, osadzają w domu pracy — istnem więzieniu pod względem surowości panującego w niem regulaminu. W Belgii starają się dać zatrudnienie okolicznościowo bezczynnym w warsztatach, znajdujących się pod kontrolą zarządu miejskiego, takich zaś, którzy nie mogą wogóle znaleźć zajęcia, wysyłają do kolonii roboczych do Hoogstraatem, Merxplas i Wortel pod Antwerpią; dla kobiet istnieją dwie takie same instytucye pod Bruges.

W Merxplas, największej z tych osad, zwyczajna liczba ludności wynosi 4 tysiące w lecie, 5 tysięcy w zimie — mężczyzn wszelkiego rodzaju uzdolnienia technicznego, siły fizycznej i rozwoju umysłowego. Kolonia położona jest o 15 mil od Antwerpii, obejmuje 1500 akrów ziemi. Prócz zajęć rolniczych, prowadzone są tu roboty w warsztatach, gdzie wyrabiają wszystko, co jest używane w kolonii. Wystarczyć sobie w zupełności jest zasadą tych instytucyj. Produkcya kolonii uwzględnia tylko potrzeby swojej ludności, choć nie wyłącza zbytu nadmiaru po za granicą osady.

Powstała ona jakieś 30 lat temu na gruncie zbankrutowanego towarzystwa dobroczynnego, od którego rząd zakupił ziemię: same piaski na podkładzie gliniastym, jałowe i nieuprawne z lichymi, całkiem pierwotnymi budynkami. Dziś na miejscu pustynnych, wrzosem i jałowcem porosłych przestrzeni, widzimy pola dobrze uprawnej, urodzajnej ziemi, aleje wysadzone pięknemi drzewami, rozległe plantacye, dobre drogi, doskonałe budynki gospodarskie i wszelkiego rodzaju warsztaty.

Uderzający przytem jest pogodny nastrój zatrudnionych, których znaczny zastęp, można powiedzieć większość, wyróżnia się dużym zasobem uzdolnienia technicznego. Wszyscy pracują pilnie, niema między nimi „wymykających się“ od zadania, niektórzy nawet z zapałem. Cokolwiek widzimy na kolonii jest wytworem ich rąk. Modeliści dostarczają wzorów, odlewacze odlewają je w formy, tokarze wykończają, toczą, aż surowy materyał dostarczony kolonii przeistacza się w rękach jej mieszkańców w kurki, pompy, zawiasy, wyroby metalowe wszelkiego zastosowania na miejscu. W tkalniach przędą i wyrabiają tkaniny, które następnie farbują i odsyłają do pracowni krawieckiej, gdzie robią z nich ubrania. W pracy na roli wszystko idzie tym samym trybem. Zboże, niezużytkowane przez kolonistów, służy za pożywienie dla bydła, mięso zabitego bydlęcia idzie na stół mieszkańców kolonii, jego skóra, oczyszczona i wygarbowana przez nich garbnikiem, wydobytym z kory drzew, rosnących na miejscu, na buty dla kolonistów, a z sierści lub włosia wyrabiają maty. Z gliny, wydobywanej na gruntach kolonii, robią cegły, używane na budowle miejscowe, garnki, talerze i naczynia potrzebne. Wogóle jakie tylko rzemiosła mają w życiu kolonii zastosowanie, wszystkie uprawiane są przez jej mieszkańców na miejscu.

Praca każdego z pensyonarzy zużytkowana jest w kierunku jego uzdolnienia; niemającym żadnego, dają zajęcie najprostsze w gospodarstwie lub uczą jakiegoś łatwiejszego rzemiosła; wielu zatrudnionych jest przy obracaniu różnych maszyn, młynów mielących żyto na mąkę dla piekarni. Maszyn jednak wogóle jest tam niewiele, a i te co są, obracają się ręcznie; skutkiem tego z jednej strony wydatki kolonistów są mniejsze, z drugiej — łatwiej zająć większą liczbę ludzi, nieposiadających żadnego uzdolnienia.

W zamian za swą pracę otrzymuje kolonista mieszkanie i stół z pewną dopłatą, której część wydawana mu jest w kwitach, pozwalających nabywać w sklepach kolonii różne drobnostki, służące do wygody lub upiększenia, reszta złożona jest dla niego w kasie na wypadek opuszczenia kolonii. Mieszkania dostają bardzo proste, lecz nadzwyczaj czyste i doskonale urządzone. Sypialnie mają wspólne — olbrzymie sale w oddzielnych zupełnie budynkach, które opuszczają rano i powracają do nich dopiero na noc. Każdy dostaje łóżko żelazne, pościel i grube, płócienne powleczenie. W lecie wstają o 4½, idą myć się w olbrzymiej, wspólnej umywalni, poczem dostają na śniadanie tak zw. grzecznie kawę z cykoryi, uprawianej na kolonii i 1¼ f. chleba żytniego. O 6-ej zaczyna się robota: około 800 bierze się do różnych zajęć domowych, około 1500 idzie pracować w warsztatach, drugie tyle do robót na polu. Starzy lub niezdolni do pracy pozostają, zatrudnieni mniej więcej tak, jak tego rodzaju biedaków zatrudniają w domach pracy. O godzinie 8-ej następuje w robotach przerwa pół godzinna, o 12-ej w południe wszyscy się udają do sal jadalnych na obiad. Tu dostają miskę wybornej, gęstej zupy i chleb. Po obiedzie wypoczywają do godziny 2-ej, poczem wracają do pracy, która się ciągnie do 6-ej wieczór z półgodzinną przerwą o 4-ej. Na kolacyę dostają prawie tak samo, jak na obiad, a potem zaraz spać.

Zarobek pieniężny kolonisty równa się zaledwie kilkunastu kopiejkom dziennie, o różnicy stanowi rodzaj jego roboty. Nie dając wielkich zysków w kierunku oszczędności, podnieca jednak jego zainteresowanie się i ułatwia mu nabycie niektórych przedmiotów, nieobjętych regulaminem ogólnym.

Zupełny brak maszyn do pracy wpływa naturalnie na stopę wynagrodzenia, które nie może iść w porównanie z otrzymywanem w zwykłych warunkach. Dopóki jednak kolonista pozostaje w granicach osady, ta różnica odczuć mu się nie daje, dopiero wyrzucony na rynek ogólny, produkt rąk jego musi uledz zrównaniu z wyrobami maszynowymi.

Państwo wydaje dziennie przeciętnie około 25 kop. na utrzymanie w takiej kolonii jednego zdrowego (valide) człowieka, a 50 kop. na starca i niedołężnego. W tem się też liczy koszta wzniesienia i utrzymania budynków, uprawy i ulepszenia ziemi, prócz niewielkiej sumy wyłożonej na zakupienie posiadłości, w tem także opłata licznej armii zarządzających i kierowników.

Jeśli teraz wziąć pod uwagę pieniądze wyrzucone na jałmużnę, na źle wykonaną pracę, na utrzymanie więzień, częstych przytułków włóczęgi, na policyę, przyznać musimy, że wydatek społeczeństwa na taką instytucyę musi się zaznaczyć korzystnie w jego gospodarstwie.

I nie można mieć najmniejszej wątpliwości co do ich pożytku. Dość zobaczyć ludzi mieszkających w tych koloniach, aby zrozumieć całą doniosłość wpływu takiego życia regularnego, ujętego w karby karności, a nadewszystko pracy, na charakter człowieka. Zostawiony samemu sobie, nie oparłby się pokusom, nie znalazłby siły do walki z trudnościami, a co ważniejsza, w wielu razach, zarabiając lepiej, zacząłby napewno pić i wskutek tego zostałby pozbawiony zajęcia. Bywają zresztą i tacy, którzy nie lubią regularnego zajęcia, którzy na swobodzie przenoszą się często z miejsca na miejsce. Tu zaś tej swobody nie mają; pod kontrolą i przymusem pracują pilnie nawet, sprawują się zadowalająco; zdala od pokuszeń lenistwa i pijaństwa odzyskują zdrowie duszy i nawet wesele.

Wszyscy dostają się tu z rozporządzenia sędziego pokoju po uprzedniem dokładnem zbadaniu położenia i potrzeb każdego z nich. Prawo belgijskie nie traktuje żebraka, jak przestępcę, lecz uważa go za istotę, potrzebującą takiej opieki, jaką w ostatnich czasach przyznaliśmy nałogowym pijakom. W Belgii przeto policya ma prawo stawiać przed sądem wszystkich pijaków, włóczęgów, żebraków — tych jednem słowem, dla których Barnett domaga się „szkół powściągliwości“. Za pierwszym razem sędzia skazuje ich na osiedlenie w kolonii Wortel przez taki przeciąg czasu, jaki da im możność z wyżej wymienionych zarobków uzbierać sobie sumę 15 franków, lub na rok, jeśli wynagrodzenie ich będzie zbyt dla tego celu małem. Gdy zaś powtórnie dostaną się przed kratki sędziego, ten ma prawo skazać ich na 2 do 5 lat zamknięcia w kolonii Merxplas. Ponad sędzią pokoju jest jednak minister sprawiedliwości, który może zmienić wydane rozporządzenie, tak co do stopnia, jak i czasu ubezwłasnowolnienia.

Czas zamknięcia w kolonii może się wydać zbyt długim; trzeba pamiętać jednak, że tych ludzi nie uważa się i niet raktuje, jak przestępców. Są to raczej pacyenci państwowi, istoty chore moralnie, fizycznie i technicznie, które poddać trzeba takiemu leczeniu, jakiego wymaga ich niedomaganie. Krótki czas nie wystarcza tam, gdzie konieczna jest reforma, tembardziej nie wystarcza, jeśli chodzi o danie możności pracowania.

Przymusowe zatrzymanie w kolonii dla istot słabej woli jest jedynem zabezpieczeniem ich od pokus świata zewnętrznego, od tego wszystkiego co wytrąca je z kolei życia normalnego, skazując na poniewierkę i nędzę. A choć między włóczęgami mogą się znaleźć miłujący swobodę nawet pomimo tej nędzy i poniewierki, większość mieszkańców kolonii chętnie przyjmuje swój wyrok i nie probuje uciekać. Merxplas nie posiada żadnego ogrodzenia, więc nie byłoby to trudnem, i faktycznie pewna ilość korzysta z tej łatwości co tydzień. Władza patrzy na to przez palce; a jeśli winowajca osiedlił się gdziekolwiek i prowadzi życie normalne, cel właściwy instytucyi został osiągnięty. Gdyby zaś powrócił do dawnych obyczajów, dostanie się z pewnością w ręce policyi i z kolei rzeczy do Merxplas, gdzie już teraz przyjmą go jako winowajcę, który naruszył prawa osady, a przeto podlega karze uwięzienia w celi miejscowej.

Po za tym wpływem, jaki wywiera życie, pędzone w zdrowych warunkach pracy i stosunków z niej wynikających, nie widzimy w Merxplas innych oddziaływań. Nie kręcą się tu misyonarze żadnego kościoła. Życiu duchowemu ludności nie grozi przymus ani gwałt — i być może instytucya temu zawdzięcza czystość panującej w niej atmosfery. *Sep.*

NA MARGINESIE

Arszenik w ciele ludzkiem. Armand Gautier z Instytutu paryskiego i P. Claussmann przedstawili Akademii nauk w Paryżu ciekawą pracę o obecności arszeniku w wielu organach i niezbędności jego w gospodarce ciała ludzkiego, jako pożywienia dla niektórych tkanek. Obaj uczeni odkryli też arszenik w ciele zwierząt ssących, ryb, w mleku, chlebie, jarzynach, w wodzie do picia, w soli morskiej itd. Ta ostatnia, zarówno jak wino i woda do picia, jest źrółem, z którego czerpiemy głównie arszenik przyswojony przez nasz organizm. Każdy z mieszkańców Paryża wprowadza dziennie do swego organizmę za pośrednictwem pokarmów około 20 tysiącznych miligr. arszeniku, co stanowi 7 miligramów 66 rocznie. Ten arszenik jest bezustannie wydalany przez wypadanie włosów, obcinanie paznokci, łuszczenie się naskórka itd. Wobec tego, zwracają uwagę autorowie odkrycia, należałoby przy ekspertyzach sądowych *post mortem* pamiętać o względnie znacznej ilości arszeniku w niektórych pokarmach, jak: ryby, raki, sól morska, wino itd. i nieomieszkać zasięgnąć wiadomości o ostatniem pożywieniu istoty poddanej badaniu. Lepiej w takim razie, badając, poszukiwać obecności arszeniku w tych organach, gdzie się normalnie nie znajduje, jak: wątroba, śledziona, mięśnie, a nawet otrzewna po obmyciu. Wyrażają oni jednak przekonanie, że obecność tego materyału w wnętrznościach w ilości około $^{1}/_{10}$ miligrama nie może już być przyznana arszenikowi o-

trzymywanemu z pożywieniem. Nie potrzebujemy podkreślać ważności tego odkrycia wobec tak częstych w sądach spraw o otrucie arszenikiem, wynikających z badania pośmiertnego.

O niższości kobiety dowodzi Cezar Lombroso na podstawie prac znanego neuropatologa niemieckiego, Moebiusa. Podług tych twierdzeń kobieta ma czaszkę bezwzględnie mniejszą, niż mężczyzna, słabsze od niego posiada zdolności do pracy ręcznej, gdyż mężczyzna szyje i gotuje lepiej od niej, jeśli się tym zajęciom odda. Źródłem moralności kobiety jest uczucie, nie rozumowanie. Ma ona dobrą pamięć, jest pojętna i dlatego tak jej się powodzi na egzaminach, lecz te zdolności nie zawsze dają dobre rezultaty. Uczone kobiety nie stworzyły dotąd żadnej metody naukowej. Nie niewolnictwo, w jakiem żyły dotychczas, należy obwiniać o tę niższość umysłową, bo przecież w malarstwie, muzyce, medycynie dowiodły swych uzdolnień. Mężczyzna dojrzewa umysłowo później, niż kobieta, lecz i starzeje się później. „Kobieta — mówi Lombroso — żyje pełnią życia tylko do lat 30; jako kierującą się wyłącznie popędami, należy ją traktować jak dziecko, nie wkładając na nią takiej odpowiedzialności, jak na mężczyznę. Jeśli kobieta popełni przestępstwo lub zbrodnię, trzeba uważać ją za chorą umysłowo, szczególniej w wypadku kradzieży. Lombroso przytacza za Bischoffem ciężar mózgu kobiety w zestawieniu z mózgiem mężczyzny:

ciężar:	mężczyzny:	kobiety:
maximum	1,925 gr.	1,565 gr.
minimum	1,018 „	720 „
średnia	1,362 „	1,219 „

U mężczyzny waga mózgu dosięga maximum pomiędzy 20 a 30 rokiem; pomiędzy 60 a 70 zaczyna się zmniejszać; u kobiety mózg rośnie do 20 lat, a zaczyna się zmniejszać pomiędzy 50 a 60 rokiem życia.

Encyklopedya rośliny. Nakładem Librairie centrale des Beaux-Arts, w Paryżu zaczyna wychodzić encyklopedya rośliny — Encyclopédie artistique et documentaire de la Plante, — mogąca okazać niepoślednie usługi artystom, pracującym na rozległej niwie sztuki stosowanej, a szczególnie w zakresie zdobnictwa i ornamentyki. Dzieło to chce dać możliwie wszechstronny opis poglądowy stu wybitnie dekoracyjnych roślin w stu miesięcznych zeszytach o czterech planszach. Z tych, pierwszą będzie stanowiła dużych rozmiarów fotografia danej rośliny lub gałęzi, drugą — dokładny, rzeczowy rysunek oddzielnych jej części, jak: łodygi, liścia, pączka, kwiatu itd., trzecią — artystycznie pojęty rysunek tych części oraz całości, a czwartą — akwarela oddająca zabarwienie rośliny. Redakcyę wydawnictwa objął M. P. Verneuil.

P. E.

Z PRASY.

— *Swiet* pisze:

„Śmierć pochwyciła W. K. Plewego podczas najważniejszych prac państwowych, którym był oddany cały. Był on duszą reformy finlandzkiej. Śmierć jego ma niewątpliwy związek ze sprawami finlandzkiemi, jak i śmierć N. I. Bobrikowa. Czy śledztwo zdoła tego dowieść, to inna sprawa, ale związek ten czuje i uznaje każdy, czują wszyscy. Anarchistów rosyjskich wysyłają na dokonanie zabójstwa tylko w celu zamydlenia oczu, dla zasłonięcia kierowniczej intrygi obcoplemiennej lub obcoplemiennych. Ci anarchiści pochodzenia rosyjskiego, jak prawdziwi Judasze, dokonywują przestępstwa za 30 srebrników, sprzedają swój naród i swoje państwo. Gdyby działali tylko anarchiści, na wzór anarchistów Europy zachodniej, to obok Rosyan gincliby i Żydzi, i Polacy, i Niemcy (których niemało przecież dzierży władzę), i Ormianie, i Gruzini, i Finlandczycy. Ale nie: giną tylko Rosyanie, prawosławni, wyznawcy idei Samowładczej, jako zasady państwowej rosyjskiej.

Bobrikowa zabili za to, że nie sprzyjał szwedomanom finlandzkim; Andrejewa za to, że nie był pokornym sługą ormian. Po pogromie kiszyniowskim wróżyli Plewemu śmierć, po zjednoczeniu Finlandyi tak samo. Kto nie jest na służbie u nędzników różnego rodzaju a jest na służbie Monarchy rosyjskiego — musi każdej chwili spodziewać się śmierci."

„Śmierć tego wiernego sługi Monarchy i oddanego syna narodu — mówią *Mosk. Wied.* — każe pomyśleć o bardziej starannem zabezpieczeniu działaczy państwowych i samo przez się nasuwa się pytanie: czy niezbyt łagodnie zachowujemy się wobec złoczyńców, czyhających na życie wiernych sług ojczyzny? Czy łagodność naszych praw nie jest jedną z przyczyn łatwości tych zamachów? Za granicą, w krajach kulturalnych, tak często stawianych nam za wzór, życie człowieka prywatnego jest zabezpieczone surowszemi prawami, aniżeli u nas życie ludzi, zajmujących wysokie posterunki. Czy nie trzeba więc przerobić samych praw o przestępstwie przeciw życiu? Miejmy nadzieję, że śledztwo da wskazówki konieczne, w jakim kierunku należy natychmiast zastosować środki."

W *Pet. Wied.* czytamy:

„Wierzymy, że Rosya dlatego uważana była za źródło dobra i światła, że najlepsi nasi działacze, poczynając od Wodzów Monarszych, wyznawali zawsze zasady najbardziej humanitarne w stosunku do niezliczonych obcoplemiennych i inowierczych żywiołów, wchodzących w skład naszego organizmu państwowego, że wszelka nietolerancya, wszelki gwałt był obcy i naszemu Kościołowi i naszemu Państwu. Na tem stała ziemia ojców i dziadów naszych, na wszczepieniu tych jasnych zasad polegała ich służba Samowładztwu i jego najwspanialszym zamiarom. Około takiego sztandaru można skupić się mocno w gęstych szeregach, których nikt nie przerwie i nic nie zmoże."

Według *Nowosti*, „wyraźny kierunek zachowawczo-postępowy działalności zmarłego ministra musiał koniecznie doprowadzić do starcia z nim żywioły opozycyjne z jednej i drugiej strony. Ale, niestety! nikt nie oczekiwał, że w tym czasie, kiedy wszystkie siły państwa i cała uwaga społeczeństwa skierowana jest w stronę wielkiej, krwawej walki na Dalekim Wschodzie, znajdą się ludzie, chociażby niezmiernie wrogo usposobieni względem rządu, którzy zdecydowaliby się jednem uderzeniem przeciąć twórczą działalność państwową i wnieść zamęt w życie wewnętrzne narodu. Oślepieni szalonym fanatyzmem zabójcy nie chcą zrozumieć, że żadne polepszenie bytu państwowego nie może wynikać z wołającego o pomstę faktu podeptania legalności, przywłaszczenia sobie krwawej samowoli w stosunku do działaczy państwowych i pogwałcenia zasady ludzkości..."

— *Kur. Warsz.* w nr. 212 zamieścił list do rodziny jednego z lekarzy powołanych na Daleki Wschód, w którym czytamy:

„Po przyjeździe do Mukdenu zastaliśmy już około setki chorych, a w kilka dni dostaliśmy około dwustu rannych z pod Wafangou. Pierwsze kilka dni było trochę pracy, zanim ranionych opatrzyliśmy, później patrzy się tylko na nich, bo rany dosłownie same się goją. Przytem są tak szczególne, że rana przenikająca całą klatkę piersiową jest zupełnie bezpieczna, bo kule japońskie są cienkie, pociągnięte warstwą niklową, mają tak szybki bieg, że przechodzą na wylot, nie niszcząc tkanek. To też ranieni kulami japońskiemi po tygodniu leczenia, czysto wyczekującego, idą napowrót do boju."

— Z *Rusi* dowiadujemy się o ciekawym sporze, jaki obecnie toczą gazety japońskie: szukając najlepszego sposobu upamiętnienia wojny rosyjsko-japońskiej. Najpoważniejszy organ patryotyczno-ekonomiczny, *Ocean Spokojny*, podał następujący projekt:

„Być może, czytelnikom naszym wyda się oryginalnem, że podjęliśmy sprawę uwiecznienia wojny na długo przed jej zakończeniem? — zapytuje gazeta — Przecież niewiadomo, na czyją stronę przechyli się szala zwycięztwa.

Co się tyczy nas, nie wątpimy, że my zwyciężymy. Lecz nawet w razie, gdyby pobili nas Rosyanie, czyż nie mamy prawa wznieść pomnika na pamiątkę tych sławnych czynów, których dokonaliśmy i jeszcze dokonamy? Zasłużyliśmy już na pomnik i dysputy na temat, jakim on być powinien, są w najwyższym stopniu na czasie.

Pomnik, o ileśmy wyrozumieli życzenie ogólne, powinien odpowiadać następnym pięciu warunkom:

Powinna to być rzecz: 1) wiecznotrwała, 2) społeczna, 3) praktyczna, 4) niedroga i 5) wzniosła.

Stąd i zowąd posypały się przeróżne projekty: urządzić bibliotekę, powołać do życia komitet, któryby się zajął projektem nawadniania pól, zbudować most, założyć szkołę handlową lub przytułek, wznieść latarnię morską itd. itd.

Każdy proponuje to, co jest najdogodniejsze dla miejscowości, którą zamieszkuje.

Proponowane były takie pomniki, jak bramy tryumfalne i obeliski, które, zdaniem naszem, nietylko nie są nam potrzebne, lecz wprost szkodliwe dla społeczeństwa, świadcząc o jego braku pomysłowości i zamiłowaniu do szychu.

Większa część projektów upada sama przez się, ponieważ obecne położenie ekonomiczne naszego kraju nie pozwala nam na zbyt wielkie wydatki.

Ale wydatki te są niepotrzebne. Proponujemy pomnik rozumny, tani, odznaczający się prostotą i godny naszej sławy.

Zasadźcie duży obszar ziemi młodemi plonkami drzew wiśniowych.

Niech wyrośnie las... Niechaj owoce tych drzew idą wyłącznie na cele szlachetne i niechaj szmer ich liści mówi nam nieustannie o naszej sławie, kwiat zaś drzew niechaj przypomina każdemu sercu o tysiącach poległych za ojczyznę rodaków."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ustawa rzemieślnicza ma być dopełniona przepisem, ażeby czeladnik przy uzyskaniu tytułu majstra zdawał egzamin ze znajomości spraw cechowych oraz stosunku z inspekcyą fabryczną, sądami i policyą.

— Cudzoziemcy niezamożni, w razie wyjazdu za granicę, uwalniani będą od 5-rublowej opłaty na rzecz Czerwonego Krzyża, po przedstawieniu odpowiedniego świadectwa, poświadczonego przez komisarza cyrkułu.

— Dnia 29 z. m. zostały przeniesione zwłoki Andrzeja Towiańskiego, przechowane w zalutowanej trumnie metalowej, z cmentarza zurichskiego, który ma być skasowany, na nowy cmentarz ogólny. Złożono je w murowanym grobie. Rodzina Towiańskiego pragnęła urządzić przeniesienie zwłok bez uroczystości, w cichości zupełnej, nie oznajmiając o tem nikomu. Przybyło jednakże kilka osób z Włoch i Francyi. Między innymi był literat i adwokat Begey, znany przyjaciel Polaków.

— Stowarzyszenie izraelitów niemieckich ostrzega za pośrednictwem gazet warszawskich współwyznawców, aby nie emigrowali za ocean, gdyż w razie niedostatecznego zaopatrzenia w pieniądze będą musieli powracać.

— W procesie, który się odbył w Królewcu przeciw Litwinom, o zdradę stanu i należenie do tajnego związku, zapadł wyrok, uwalniający wszystkich oskarżonych od zarzutu zdrady stanu. Za należenie do

związku tajnego skazano 6 osób na więzienie od 2—3 miesięcy.

— Policya pruska zabroniła obchodu rocznicy „Sokołów“ pod Poznaniem, oraz wiecu ludowego w Ja-[illegible].

— Z Gdańska wydalono poddanego rosyjskiego, Modzelewskiego, utrzymującego księgarnię i skład [illegible].

— U księgarzy polskich w Berlinie odbyły się rewizye, a nadto przedstawiono im listę książek zakazanych z wezwaniem, aby wydali je dobrowolnie w ręce władzy.

— Ze sprawozdania generalnego komisarza emigracyjnego w Waszyngtonie dowiadujemy się, że w r. 1903 przybyło do Stanów Zjednoczonych Polaków ogółem 82,343 osób — 58,992 mężczyzn, 23,351 kobiet; poniżej lat 14—7,761, powyżej, do 45 lat — 72,629 osób, powyżej lat 45 — 1,953 osób. W całej masie umiejących czytać po angielsku było 1312, nieumiejących wogóle ani czytać, ani pisać 22,634; 60,558 osób nie posiadało nawet 30 dolarów. Suma, będąca, w posiadaniu wszystkich razem, wynosiła 785,541 dolarów. Ubogich, którzy staną się ciężarem dla państwa, znajdowało się w liczbie ogólnej 269, dotkniętych chorobami zakaźnemi 201. — Litwinów przybyło w 1904 r. ogółem 14,432 — mężczyzn 10,721, kobiet 3,711. Umiało czytać po angielsku 712, ani czytać, ani pisać nie umiało 5,487 osób. Suma pieniędzy, będąca w posiadaniu wszystkich razem, wynosiła 130,515 dolarów. Ubogich lub takich, którzy staną się ciężarem dla państwa było 34.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty upoważniło kuratora okręgu naukowego do samodzielnego rozstrzygania spraw następujących: 1) upoważniania zakładów naukowych w razie potrzeby do poszukiwania sum do wysokości 2,000 rb.; 2) otwierania bibliotek publicznych przy szkołach początkowych; 3) ustanawiania opłaty szkolnej w początkowych szkołach żydowskich, nie wyżej nad 6 rb. rocznie; 4) zatwierdzania posad nauczycielskich i ich pomocników przy zakładach naukowych żydowskich (ustawy z r. 1873), utrzymywanych z funduszów specyalnych; 5) ustanawiania dyet i wynagrodzeń za podróże [illegible]ków rad pedagogicznych, odbywane przy egzaminach wychowańców szkół miejskich dla uzyskania świadectwa, dającego ulgi przy odbywaniu powinności wojskowej.

— Zarząd m. Warszawy postanowił podwyższyć wydatki na utrzymanie szkół początkowych w r. 1905 do 650,000 rb.

— Warszawskiemu Instytutowi weterynaryjnemu nadano prawo przyjmowania 5% słuchaczów po nad komplet, oraz pozostawiania studentów na trzeci rok na jednym kursie.

— Zjazd lekarzy niemieckich w Kolonii rozesłał do dyrektorów 482 gimnazyów i 131 szkół realnych w Niemczech wezwanie, ostrzegające młodzież przed wstępowaniem na wydziały lekarskie wobec nędzy, jaka panuje śród lekarzy niemieckich skutkiem zbyt wielkiej ich liczby oraz innych przyczyn, jak rozpowszechnienia się kas pomocy w chorobie, zingodzenia prawa o leczeniu bez dyplomów lekarskich, wielkiej liczby poliklinik itd.

Wiadomości naukowe. Ogłoszono konkurs na posadę asystenta przy katedrze budownictwa wodnego w politechnice lwowskiej, z pensyą roczną 1,400 ko-[illegible].

Ze sztuki. Tow. Zachęty ogłasza, że w grudniu i styczniu odbędzie się doroczna wystawa konkursowa, na którą przyjmowane będą: obrazy olejne, wodne, pastele, rysunki i sztuki graficzne w całym swoim zakresie; z działu rzeźby: prace oryginalne bez względu na materyał wykonania (pastelina, wosk i glina niewypalana, pod szkłem); z działu architektury: okazy twórczości architektonicznej, oryginalnej, o cechach artystycznych, czy to w całości, czy też we fragmentach podane, nadesłane w rysunkach, modelach i fotografiach z natury; z działu zdobnictwa: projekty z zakresu wszystkich rzemiosł i rękodzieł, jako oryginalne pomysły artystyczne, podane w rysunkach, modelach lub też w ostatecznem wykonaniu, o ile przedmiot rozmiarami nie przekroczy możności wystawienia. Deklaracye nadsyłać należy do 15 października, dzieła zaś — do 15 listopada.

Sprawy ekonomiczne. Wydano postanowienie, ażeby przy wywłaszczaniu przymusowem nieruchomości na potrzeby państwowe lub publiczne wynagrodzenie biegłych ponosiła strona zyskująca.

— Zatwierdzone zostały ustawy Towarzystw rolniczych: płockiego, mławskiego i rypińskiego, oraz Tow. oszczędnościowo-pożyczkowego w Kałuszynie, pow. Nowomińskim.

— W Ciechanowie zawiązała się spółka wzajemnej pomocy gospodarzy małorolnych, do której zapisało się 22 uczestników.

— Przy Kasie rolników i ogrodników utworzono bezpłatne biuro pośrednictwa pracy.

— Wyznaczone przez inspekcyę fabryczną dla gub. Warszawskiej normy wynagrodzenia robotników, poszkodowanych skutkiem wypadków nieszczęśliwych w czasie pracy, zwiększone zostały specyalnie dla miasta Warszawy, i ustanowione w wysokości następującej: dla dorosłych robotników 79 kop., dla kobiet — 44 kop., dla wyrostków 43—39 kop., dla małoletnich 30 kop.

— Specyalna komisya przy ministeryum skarbu zajmie się unormowaniem dnia roboczego w kantorach i biurach prywatnych.

Koleje i komunikacye. Władza powyższa poleciła tutejszym zarządom kolejowym, ażeby inżynierowie i inni urzędnicy, należący do ministeryum komunikacyj a trudniący się dostawą lub przedsiębiorstwami robót na kolejach, podali się do dymisyi niezwłocznie, gdyż w przeciwnym razie zwolnieni będą przymu-[illegible].

— Wydano rozporządzenie, aby zarządy miejscowe kolei żelaznych rozstrzygały samodzielnie wszystkie pretensye osób poszkodowanych podczas wypadków kolejowych w wysokości 10,000 rb. jednorazowego odszkodowania i 1,000 rb. rocznej pensyi.

Poczta. Główny zarząd poczt i telegrafów zawiadomił tutejsze urzędy pocztowo-telegraficzne, że z rozporządzenia ministeryum spraw wewnętrznych przesyłanie paszportów i innych dowodów na ręce policyi ulega skasowaniu. Odtąd dowody te powinny być wysyłane posiadaczom ich bezpośrednio. Z tego powodu listy zwyczajne, zapieczętowane z paszportami, wysyłane przez urzędy stanu cywilnego, mają być przyjmowane bezpłatnie. Na kopercie powinien być napis: „Z paszportem.“

Pożary. W Galicyi spaliły się: wieś Kałusz tudzież część miasta tejże nazwy wraz z zabudowaniami salin; miasteczka Rozwadów i Sokołów pod Rzeszowem, oraz Brzesko pod Tarnowem.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 22 Іюля 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.